

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 29 styczeń 1950 r.

Nr 4 (218)

TREŚĆ NUMERU: K.M.S — Patrzymy na gwiazdy; M. Priszwin — Jarik; Graham Greene — Major Scobie, tłum. J. Woźniakowski; J. J. Szczepański — Literatura wiecznie młoda; Jan Dobraczyński — Strzały za horyzontem; Stanisław Kolbuszewski — Rozważania nad eposem; Tydzień kulturalny: Alina Swiderska — Premiery krakowskie; Włodzimierz Wnuk — List z Olsztyna; Leszcz — Uwagi o dialogu filmowym; Jerzy Artemski — Maszeńka; Wokół artykułu Lichniaka.

Mikołaj Rostworowski

OCZAMI POKOLENIA

„...A kiedy trzeba będzie
zrobić to i owo,
Powiecie: słusznie, trzeba
będzie zrobić to i owo,

Ale: primo,
Ale: secundo,
Ale: tertio,
A więc niech lepiej zostanie,
jak było.
To się filozoficznie nazywa
distinguo“
(Czesław Miłosz: „Na pewną
książkę“)

Wydaje się, że wśród licznych, mniej lub bardziej sprzyjających koniunktur charakteryzujących naszą epokę, kryje się również i szansa, całkiem istotna dla dalszych widoków rozwojowych polskiego katolicyzmu. Łączy się ona ściśle ze sprawą młodego pokolenia katolickiego, które swój staż ideologiczny podjęło w warunkach zupełnie odrębnych od tych w jakich przywykli działać nasi poprzednicy.

Najdalej od jakiegoś irracjonalnego kultu młodości „jako takiej“, chcę tu jedynie skonstatować korzystną, choć bynajmniej niezaskuszoną sytuację roczników 1920—1930, które zalecenia przyjęte w pierwszej fazie działalności publicznej na „słowo honoru“ — muszą ustawicznie konfrontować z rzeczywistością znacznie młodszą od owych zaleceń. Konfrontacja tego typu okazuje się najczęściej niezwykle płodna, a rewolucja która doprawdy nie stanowiła naszego punktu wyjścia staje się mimo chęci rewelatorką rdzennie katolickich postaw, nie figurujących niestety w spisie inwentaryzacyjnym mienia dziedzicznego.

Pogląd na moralność, ściślej: na mechanizm jej stosowania należy w pierwszym rzędzie do prawd tak zinterpretowanych, że za najbardziej konsekwentną formę działania w danej sytuacji historycznej wypadaloby uznać powstrzymanie się od jakiegokolwiek działania. Otóż sędzę, że naczelnym zadaniem katolickiej formacji wstępującej jest wykazanie głębokiej niesłuszności tkwiącej w podobnym stanowisku. Przywrócenie zatraconych proporcji prawdom zniekształconym, odarcie z nich socjologicznej pleśni narosłej w ciągu przewlekłego okresu symbiozy z cywilizacją mieszczańską — to właśnie owa historyczna szansa młodej tkanki polskiego katolicyzmu.

CZAS ZĄBKOWANIA

Podkreślam: wyjątkowo dogodne pozycje startu stanowią sytuację tylko o tyle zasłużoną, o ile zasługą może się komu wydać sam fakt przyjscia na świat w tym, a nie w innym momencie. Świadomość jakiejś szczególnej misji (brrr!...), choćby cień świadomości zadań o jakich przed chwilą wspomniałem — te wszystkie sprawy napewno nie zaprzętały uwagi roczników wchodzących w szranki katolickiej działalności publicznej zaraz po wojnie. Przypuszczam jednak, że prócz normalnej dla tego wieku, czy to biologicznej pasji aktywności, niemniej ważką pobudką działania było szczere przeżycie religijne, rodzące wolę służby temu co się uznawało za jedyną Prawdę.

Młodzi startujący z tych par excellence 'intuicyjnych przesłanek byli narażeni na wszelkie możliwe pokusy: błąd idealizmu, kompleks kontrrewolucji, — że jedynie wymienię najpoważniejsze. Od jednej tylko pokusy, niemalże mechanicznie, odcinały ich naturalne konsekwencje owej stawki na katolicyzm: nie groził im oportunizm. Wypada tu nadmienić że z biegiem lat to antykonformistyczne stanowisko przestało być w świadomości młodych li tylko trudną koniecznością narzuconą przez sam fakt zaangażowania w walkę o treści pozbawione szczególnej czułości epoki. Coraz powszechniejszą stawała się świadomość, że decyzja podjęcia zmagania o katolickie cele w danej rzeczywistości, oznacza jednocześnie akceptację stanu permanentnego konfliktu w obozie własnym wszędzie tam, gdzie zachodziłaby próba obrony socjologicznych pozycji skompromitowanych przez historię. Ideowa czujność obowiązywała dwukierunkowo, a antykonformizm i negacja oportunizmu z rangi okoliczności towarzyszącej działaniu awansowały do zaszczytnej roli warunku i zasady działania.

Uwypuklenie momentu czystości ideowej wydaje mi się szczególnie ważne przy odtwarzaniu tych rozlicznych ścieżek, które przywiodły aktywną część młodzieży katolickiej do dzisiejszych postaw. Piszę „przywiodły“ bo nie śmiałbym sugerować, iż świadomość etycznych walorów zaangażowania

zrodziła się w konsekwencji jakiejś jednorazowej spekulacji intelektualnej lub, że towarzyszyła ona już wstępnym poczynaniom młodych. Od pozycji zaangażowania faktycznego — A. D. 1945, do pozycji zaangażowania uświadomionego i aprobowanego — A. D. 1950, dzieli nas pięcioletnie pasmo doświadczeń, w których drama tyczne zmagania wewnętrzne poprzedzały z reguły oddech słusznej satysfakcji.

Z perspektywy tych lat pięciu niemal — że paradoksalnym wydaje się stwierdzenie, iż pierwszymi mistrzami młodych, nauczycielami, którzy w ogóle umożliwi im start byli ludzie prawie obcy postawie zaangażowania. Rekrutowali się oni z postępowych ugrupowań przedwojennej inteligencji katolickiej i fakt ów predystynował ich niejako automatycznie do roli duchownych przewodników obozu katolickiego.

Tradycje monopolizowania tzw. „roboty katolickiej“ przez oświecone ziemiaństwo i inteligencję miejską przetrwały zawieruchę wojenną, toteż skład socjalny formacji wstępującej nie odbiegał zbyt od wzorów przeszłości. Niesposób się dziwić, że autentyczna żarliwość religijna działaczy starszego pokolenia i głoszone przez nich szlachetne hasła humanizmu były istotną rewelacją dla młodych, którzy w swoich domach rodzinnych daremnie szukali zadawalającej odpowiedzi na pytania dotyczące sensu dopiero co przeżytej katastrofy.

OBIEKTYWIZM NIEZOBOWIĄZUJĄCY

Patrząc na graniczącą z uporem zaciekłość z jaką młody aktywny katolicki realizuje często niezrozumiane nawet przez własny obóz hasła, nie mogę się oprzeć przeświadczeniu, że korzenie owej postawy tkwią nie gdzie indziej jak właśnie w tych odległych latach terminowania u działaczy starszego pokolenia, którzy z godną podziwu stałością wpajali w uczniów fanatyczny kult dla wierności prawdzie. Dopiero dużo później mieliśmy się dowiedzieć o bardzo szczególnie zabarwieniu zalecanego obiektywizmu. Na razie takie terminy jak: „wszechstronny rozwój człowieka“, „godność i wolność osoby ludzkiej“, „świad-

czenie prawdzie“, — rozpałały wyobraźnię do czerwoności i były rozumiane w sensie dosłownym. Warto tu zaznaczyć, że są rozumiane dosłownie po dziś dzień.

Przyznam ze skruchą, że nie zdaję sobie sprawy w jakiej mierze przemożna potrzeba czystości jest wrodzoną każdej istocie ludzkiej, a w jakiej mierze stała się w owych latach naturalnym odruchem protestu wobec lekcji hitlerowskiej. Katolicyzm nauczał o ważności każdego człowieka, sprzeciwiał się relatywizmowi wartości. Działalność publiczna w oparciu o wieczne fundamenty nauki Kościoła, zdawała się gwarantować definitywne odcięcie od nieprawości dopiero przeżytych. Sądzę, że to właśnie, cokolwiek zresztą uproszczone rozumowanie, tkwiło u podłoża licznych postanowień młodych, szluszujących pod chorągwie Kościoła Pielgrzymującego. Poglądy starszych kolegów utwierdzały ich rzecz jasna co do słuszności powziętej decyzji.

Pierwsze rysy na tym przy mierzu pokoleń zaczęły się ukazywać kiedy wyszło na jaw, że prócz rzeczywiście niezwykle precyzyjnych kryteriów rozróżniania dobra od zła, działacze starszego pokolenia nie wiele więcej mają swym młodszym kolegom do ofiarowania.

Kryzys, który teraz nastąpił nie zakończył się ani zbiorową apostazją, ani odrzuceniem ideałów podawanych tak sugestyjnie. Młodzi czuli, że kryzys nie dotyczy katolicyzmu, a dowodzi jedynie bankructwa pewnych postaw ściśle umieszczonej w historii.

CZYSTOŚĆ CZY SKRUPULANTYZM?

Ponieważ bardzo często ze strony starszego pokolenia działaczy katolickich pada zapewnienie, że nie poddają dyskusji czystości intencji swoich młodszych kolegów, śpieszę z zapewnieniem podobnego rodzaju: Re prezentowana przez nich postawa obiektywizmu krytycznego, nie wynikała bynajmniej ani ze złej wiary, ani z niedolności działania. Była gorzkim i niestety niedostatecznie uświadomionym dziedzictwem moralizmu mieszczańskiego, który prawdę o prymacie ducha jednostronnie zdeformo-

wał, sugerując możliwość zajmowania „czystych“ stanowisk duchowych, nie znajdujących zastosowania w świecie zewnętrznym.

Najzupełniej jałowym przykładem jest protest człowieka przeciw grzesznej rzeczywistości jeżeli ogranicza się on tylko do wewnętrznej dezaprobaty tej rzeczywistości. Zasiłanie się argumentem iż zachodzą sytuacje, w których warunkiem działania jest wybór między dwoma złymi ewentualnościami — trafia w próżnię. Jak to dosadnie obrazuje E. Mounier każda sytuacja jest dwuznaczna, mieszana i sprośna. Nie ma sytuacji czystych. Odpowiedzialność za zło dziejące się w świecie ponosimy także wtedy, kiedy nie przykładamy doń ręki. Nie dość na tym: odpowiedzialność za to cięższe obciąża nasze sumienie im więcej zaniechaliśmy okazji do przeciwstawienia się złu. Wniosek brzmi jednoznacznie: moralniej jest działać, angażując się w sytuacje w których zło jest zmieszane z dobrem, niż nie działać w ogóle.

Na tle powyższych stwierdzeń już z całą wyrazistością występuje nieetyczność przesadnej troski o czystość wewnętrzną, manifestującej się w biernej obserwacji rzeczywistości opatrywanej od czasu do czasu krytycznym komentarzem. Tę niedrażliwą postawę można dostatecznie przekonywająco uzasadnić upodobaniem w zajmowaniu stanowiska abstrakcyjnego, które ponoć umożliwiałoby wnikliwsze widzenie rzeczy tego świata. Jednak gorzki i musi gorzki próba obrony wartości etycznej zachowań tego typu.

Mounier słusznie podkreśla, że grzech przede wszystkim obraża Boga i porządek świata, potem dopiero godzi w grzesznika. Grzebanie we własnych skrupałach dowodzi utraty właściwego sensu moralnego. To napewno nie jest postawa teocentryczna, lub alterocentryczna, a po prostu niemożny egocentryzm.

Młodzi wychodząc spod patronatu jednostek, z których rad jakgdyby wynikało że najmoralniejszym stosunkiem do rzeczywistości jest nie ustosunkowywać się do niej w ogóle, nie wiele słyszeli o Emanuelu Mounier z którego pism czer-

(dokończenie na str. 2-giej)

PATRZYMY NA GWIAZDY

Styczeń! Miesiąc święta Trzech Króli!

Gdy patrzymy na zimowe, rozgwieżdżone niebo, myślimy o rozświetleniu nad Betlejem światłem, które przed 1950 laty wyprowadziło Trzech Króli z ich dalekich ojczyzn do krainy Izraela. I władca ziemi, przeciętej gigantyczną wstęgą Gan-gesu i król z nad szerokiego Eufratu i ten z nad tajemniczego Nilu, szli, wpatrzeni w Gwiazdę Betlejemską, aby się spotkać wreszcie nad niepozorną rzeką Jordanem.

Dziś, mroku styczniowej nocy nie rozjaśnia blask gwiazdy, której pochodzenia nie umiał wytłumaczyć żaden uczyony — fizyk, czy astronom. Ale konfiguracje świetlistych punktów, które widnieją na niebie nad naszymi głowami, są prawie, że nie zmienione od czasu, gdy oglądali je Trzej Królowie, dążący do Betlejem. Cóż spostrzegamy na niebie styczniowym? Jakie gwiazdy i planety przyciągają nasz wzrok i naszą uwagę?

Gdy spoglądamy przez czas dłuższy na niebo, obserwując położenie gwiazd, odnosimy wrażenie, że jego kopuła przesuwa się nad nami. Księżyc, planety i gwiazdy stałe zataczają na niej kręgi dokoła punktu, który nazywamy biegunem nieba. Kręgi, zataczone przez wszystkie planety i większość gwiazd, są tak wielkie, że częściowo kryją się pod horyzontem. Tym tłumaczą się wschody i zachody ciał niebieskich. Ruch jednak firmamentu jest w tym wypadku pozorny. To Ziemia wy-

konuje swój dwudziestoczerogodzinny obrót, stwarzając złudzenie, że wszystkie ciała niebieskie zmieniają swe położenie. Już starożytni Egipcjanie i Grecy zauważyli, że gwiazdy stałe tworzą na niebie niezmiennie konfiguracje. Ponieważ niektóre z tych układów przypominają kształtem postacie ludzi i zwierząt, powstał dokoła nich bogaty świat legend. Gwiazdy prawie że nie zmieniają swego położenia na niebie. Nawet przez tysiące lat przesunięcia ich są tak nieznaczne, że z trudem je dostrzegamy. Natomiast zmiany położenia planet, Księżyca i Słońca, jako ciał, znajdujących się znacznie bliżej Ziemi, są dla nas łatwiej dostrzegalne.

Gdy w roku bieżącym, w styczniu, zaraz po zachodzie Słońca patrzymy na niebo, przede wszystkim uderza nasz wzrok planeta, promieniąca szlachetnym, biało-niebieskim blaskiem nad południowo-zachodnim horyzontem. Jest to Wenus, świecąca jako „gwiazda wieczorna”. Ponieważ niekiedy ukazuje się ona jako Jutrzenka przed wschodem Słońca, a więc przez wiele wieków przypuszczano, że są to dwie różne planety. Dopiero Pytagoras stwierdził, że jest to jedno i to samo ciało niebieskie. Obserwując Wenus przez silną lornetkę można zauważyć, że wykazuje ona fazy, podobnie, jak nasz Księżyc. Teraz na przykład, w styczniu, jest widoczna w kształcie sierpa. Odległość jej od Ziemi wynosi około 60 milionów kilometrów.

Równocześnie z Wenus ukazuje się na niebie — nieco poniżej i na prawo od niej — inna planeta, którą jest Jowisz. Świeci on żółtawym i znacznie słabszym od światła Wenus, blaskiem. Dokoła Jowisza krąży 11 księżyców. Cztery najjaśniejsze z nich, odkryte przez Galileusza w 1610 roku, możemy dostrzec przez lornetkę, jako małe, świecące punkciki tuż koło Jowisza.

Planety, odznaczające się dużym natężeniem blasku, dostrzegamy na niebie wcześniej niż gwiazdy, które stają się widoczne dopiero z gęstniejącym mrokiem.

A więc już na zupełnie ciemnym tle nieba, w północnej jego stronie, ukazuje się — na przykład — gwiazdozbiór, zwany Wielkim Wozem. Jest on tak powszechnie znany, że nie ma potrzeby omawiać bliżej jego wyglądu. Warto jednak zwrócić uwagę na małą gwiazdeczkę, którą Arabowie nazwali „El-suha”, czyli „Zapomniana”. Znajduje się ona tuż nad środkową gwiazdą dyszla wozu. Gwiazda „Zapomniana” stanowiła od wielu wieków i stanowi do dzisiaj próbę wzroku. Ludzie o słabszym wzroku nie dostrzegają jej wcale.

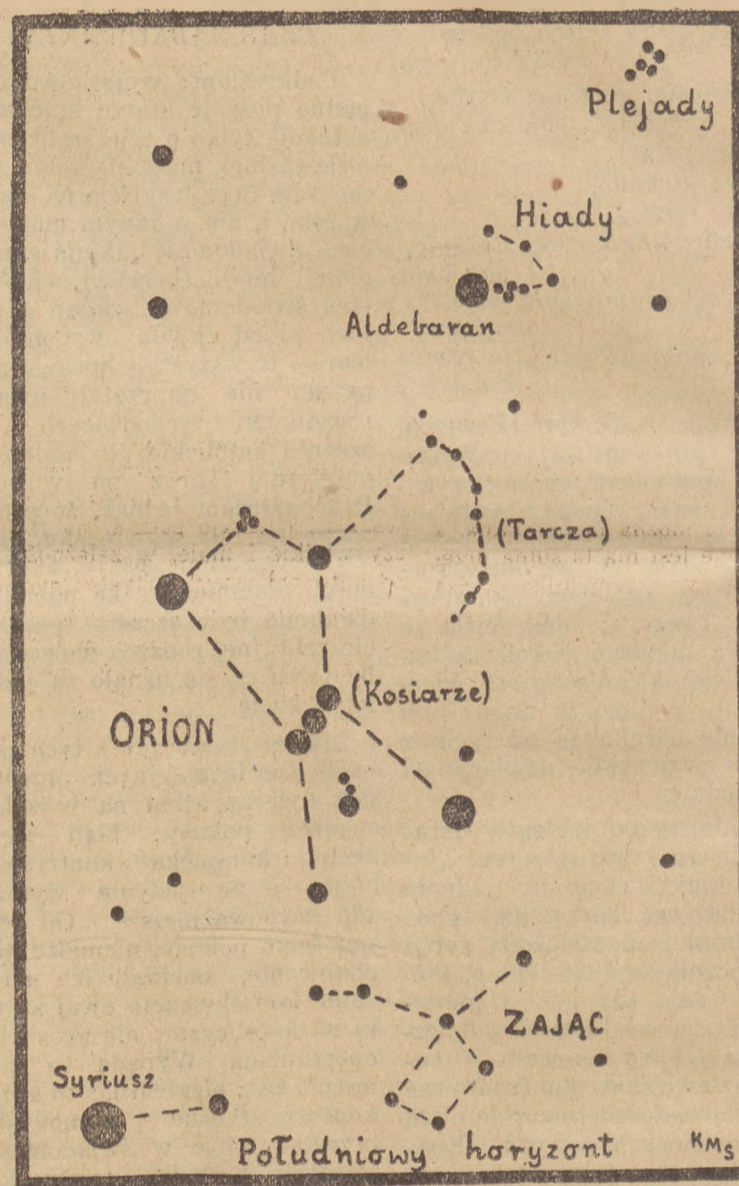
Przeprowadzając prostą przez tylne gwiazdy Wielkiego Wozu i odmierzając na niej 5 razy ich odległość, natrafiamy na gwiazdę Biegunową. Leży ona bardzo blisko bieguna nieba i wskutek tego krąg, jaki codziennie dokoła niego zatacza, jest bardzo mały. Widzimy ją więc zaw-

sze w tym samym niemal że miejscu na północy. Przed wiekami gwiazda ta była o wiele bardziej oddalona od bieguna, niż obecnie. W ciągu tysięcy lat stale się biegun do niej zbliżał i zbliżać się będzie aż do roku dwa tysiące setnego. Wówczas wzajemna między nimi odległość znacznie wzrośnie i biegun przybliżyć się będzie do gwiazdy w konstelacji Cefeusza, oznaczonej grecką literą alfa.

Gdy przeprowadzimy linię prostą od dyszla Wielkiego Wozu przez gwiazdę Biegunową, natrafimy na konstelację Kasjopeję, przypominającą kształtem literę M. Według mitów helleńskich Kasjopeja miała być chępliwą i grzeszną kobietą, która ściągnęła na swą rodzinę i ojczyznę liczne przesładowania boga Poseidona. Astroteozofowie chrześcijańscy uważali Kasjopeję za symbol grzeszniczy — Ewy.

swój blask i znajdującą się nieco na zachód od gwiazdozbioru Perseusza. Ta ostatnia konstelacja zakończona jest od południa zbitą grupą gwiazdek, zwanych powszechnie Plejadami, a w Polsce — Kwoką z Kurczętami. Ta gromada gwiazd miała niegdyś duże znaczenie dla żeglarzy. Gdy w połowie maja Plejady ukazywały się na niebie przed wschodem Słońca — rozpoczynano żeglugę na morzu, aby kończyć ją wówczas, kiedy Plejady w pierwszych dniach listopada zniknęły na zachodzie przed wschodem Słońca.

Zwróciwszy się twarzą ku południowi, na lewo od Plejad spostrzegamy jasną, o pomarańczowym blasku gwiazdę Aldebarana, którą otacza grupa niewielkich Hiad, zwanych również Dżdźownicami. Jeszcze dalej na lewo i nieco w dół od Aldebarana znajduje się najpiękniejszy bodajże gwiazdozbiór naszego nieba



Nieco powyżej Kasjopeji, niemal dokładnie nad naszymi głowami, rozpościera się, skierowana na południe, wstęga gwiazd, która stanowi konstelację Perseusza. Podanie głosi, że Perseusz wybrał Andromedę, córkę Kasjopeji, zabijając potworną Meduzę, która miała zamiast włosów kęsa-sające, jadowite węże. Meduzą (lub po arabsku Algolem) nazywamy gwiazdę, zmieniającą periodycznie — Orion. Hellenowie wyobrażali sobie Oriona jako olbrzyma, przechodzącego przez morze. W świetle chrześcijańskim symbolizuje on Świętego Krzysztofa, który przenosi przez wodę Dzieciątka Jezus. Rozmieszczenie poszczególnych gwiazd Oriona kreśli dość wyraźny zarys postaci ludzkiej. Ludy starożytne o bogatej wyobraźni dostrzegały na niebie rycerza w pięknym błyszczącym pasie, uzbrojonego w miecz i tarczę. Trzy leżące koło siebie jasne gwiazdy, które tworzą pas Oriona, nazwano w Polsce Kosiarzami, ponieważ latem ukazują się kolejno spod horyzontu przed wschodem Słońca, niby kosiarze, wychodzący w pole do roboty. Nieco na lewo od

Oriona, tuż nad horyzontem znajduje się najjaśniejsza gwiazda nieba — Syriusz, mieniący się wspaniałe czerwienią i zielenią. Jest to jedna z najbliższych nam gwiazd stałych, której oddalenie od Ziemi wynosi 80 milionów kilometrów. W starożytności znana ona była również pod inną nazwą, a mianowicie Pies Oriona. Przedświeczny wschód Syriusza zwiastował Egipcjanom wylew Nilu. U Rzymian jego przedświeczny wschód zapowiadał porę największych upałów, którą nazywano „dies caniculares” czyli dni psie. Stąd i w Polsce także okres gorących dni letnich nazywamy „kanikulą”.

O innych planetach i gwiazdach, widocznych na zimowym niebie — w następnym miesiącu.

KMS

Polskie Towarzystwo Miłośników Astronomii zorganizowało w niedawno odbudowanym gmachu Obserwatorium Astronomicznego U. W. (al. Ujazdowskie 4) pokazy nieba przez teleskop, które udostępnią ogółowi poznanie otaczającego nas Wszechświata.

OCZAMI POKOLENIA

(Dokończenie ze str. 1-ej)

łowań zawartych w tym artykule. Słyszeli natomiast wiele pięknych prawd dotyczących warunków, w jakich człowiek się najkorzystniej rozwija, fascynował ich humanizm integralny... Wszystko to było niesłychanie przekonujące i nie wątpiliśmy, że po roku, dwóch, skoro ładne hasła dostatecznie ugruntują się w naszych umysłach przystąpimy wspólnie do ich realizacji.

Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że musi się ona dokonywać etapami.

Byliśmy boleśnie zaskoczeni kiedy przy każdorazowej ocenie poszczególnego etapu tak pojętej działalności padała stereotypowa uwaga, że in abstracto mamy słusność, ale tylko in abstracto...

MORALNOŚĆ ŻYWA

Działanie według jakichś wytycznych oznacza ich ustawiczną konfrontację z rzeczywistością. Wytyczne, które nie mają mocy kształtowania rzeczywistości są złymi wytycznymi. Zachodzi problem: czy norma moralna stanowi taką właśnie wytyczną konkretnego działania? Otóż z całą siłą trzeba odpowiedzieć przecząco. Zasadniczą funkcją moralności jest jej rola ogólnego miernika postępowania. Nie wolno żądać od Kościoła aby dostarczał nam gotowych recept na każde konkretne działanie, w każdym określonym przypadku. Wytyczną działania konkretnego będzie więc dla katolika wynik każdorazowej konfrontacji niezmiennych norm moralnych ze zmienną i zawsze skomplikowaną rzeczywistością.

Nie ma sytuacji, w której chrześcijanin mógłby tę rzeczy-

wistość aprobować całkowicie. Fakt ów, nie zwalniając ani na chwilę od działania, które jest uwarunkowane relatywną akceptacją rzeczywistości — stanowi równocześnie znamienny sygnał, który ostrzega, że każde konkretne postępowanie jest jakoś skażone ziemskim pyłem. Stąd unikanie pobudzenia rąk przy jednoczesnej decyzji działania byłoby postawą niedorzeczną.

A więc cel uświęca środki? — Kategorycznie odpowiadamy: nie. Norma moralna kryje w sobie niedwuznaczny imperatyw wyboru środków godziwych. W duszy osoby działającej rozgrywa się ów twórczy dramat między potrzeby czystości a potrzebą skuteczności.

Wiadomo jak potężny nacisk kładzie etyka chrześcijańska na czystość intencji. A czymże jest intencja, jeżeli nie wyznaczeniem moralnego celu, któremu przyporządkowuje się środki realizacji? Napewno cel nie uświęca środków, jednak podobnym uproszczeniem byłoby wyrokowanie o ich moralności lub niemoralności, oceniając je w oderwaniu od celu.

Wybór jakiegoś dokonuje czoło wiek przeniknięty wołą działaknia nie zachodzi między złymi środkami — skutecznymi a dobrymi — nieskutecznymi. Nieskuteczne są z punktu eliminowane, a posługiwanie się nimi świadczyłoby co najwyżej, o typowym grzechu idealistów, którzy chcą nakładać na rzeczywistość schematy konstruowane w oderwaniu od niej. Oczywiście, że nie pasują.

Sądząc, że szlachetne intencje naszych pierwszych patronów produkowały takie właśnie schematy. Sugerowanie, że mo-

że istnieć słusność moralna „in abstracto” zdaje się na ten stan rzeczy wskazywać.

Z chwilą kiedy się ufa, że przepisy konkretnego postępowania leżą schłodnie posegregowane na półkach Kościoła — jedyną konsekwentną postawą jest bierność i skrajna obojętność wobec historii.

Zastanawiające jak jedna i ta sama potrzeba czystości może się tak bardzo odmiennie manifestować. Dla młodych np. postulat zajęcia postawy zaangażowanej w konkretną rzeczywistość historyczną wydawał się moralną konsekwencją woli działania skutecznego. Tylko takie w ich rozumieniu usprawiedliwia aktywność ludzką. Bez względu bowiem na to, kto co rozumie pod słowem historia, nie ulega wątpliwości, iż działanie podług schematów konstruowanych w oderwaniu od konkretnego kontekstu społecznego oznacza tupanie w miejscu lub zarzucanie lasa na mrówki.

Wiem pozytywnie, że w ocenie sytuacji politycznej naszego narodu i katolicyzmu nie ma zasadniczych różnic między pokoleniowymi aktywami katolików polskich. Stąd i przede wszystkim stąd te zuchwałe pretensje. Pretensje o nie dość zdecydowany współudział w przywracaniu waloru słowom, które może na to zasługują. Znamy ich kilka: wszechstronny rozwój człowieka, godność i wolność ludzka, humanizm... Prawdopodobnie coś oznaczają lecz co, dowiemy się jedynie szukając tam, gdzie jak mówi Mounier „trzeba sobie pobrudzić ręce i gdzie się wygrywa bitwy”.

Mikołaj Rostworowski

Stanisław Kolbuszewski

ROZWAŻANIA NAD EPOSEM

(Uwagi teoretyczne)

Z wszystkich form, w jakich przejawia się życie ludzkie, sztuka jest formą najbardziej indywidualną, a jednocześnie najpełniej bodaj i najwzschodniej odtwarzającą życie. Jest światem istniejącym dla siebie, mającym swoje własne prawa i swojej własne cele, a jednocześnie jako dzieło ludzkie i jako wyraz życia najmocniej i na zawsze związała się z człowiekiem, jest dla niego, jest dla życia. Badawcze rozpatrywanie dzieła sztuki jako zjawiska artystycznego ma nam wytłumaczyć jego związek z życiem i jego funkcję społeczną. Dzieło sztuki bowiem posiada nie tylko swą własną, autonomiczną zawartość myślowo-uczuciową i posiada nie tylko z tą zawartością związaną raz mocniej, raz słabiej zawartość indywidualnych przeżyć autora w dzieło włożonych. W dzieło sztuki wchodzi jako trzeci jego czynnik składowy pewna treść ideologiczna. Dzieło reprezentuje postawę socjalną twórcy jako członka pewnego środowiska i epoki, a także może ono reprezentować życie narodu takie, jakim je twórca widzi i przeżywa w sobie lub jakim ono ukształtowało go. Jest dziełem sztuki obrazem życia, jest językiem sztuki objawioną artystyczną wiedzą o świecie. To jest stała, niezmienna jego zawartość i funkcja.

Ale w obręb dzieła sztuki wchodzi także pewna zawartość, którą by nazwać można momentalną, a mianowicie jest nią ta suma przeżyć odbiorcy tj. czytelnika, widza czy słuchacza, którą w momencie kontemplacji estetycznej dzieła w nim wywołuje, a którą on z pominięciem w dzieło wkłada. Każda bowiem jednostka treść nową w dziele sztuki odkrywa, patrząc na nie przez pryzmat własnej indywidualności, do której urobienia — rzecz oczywista — epoka i środowisko walczy się przyczyniły. Tak jednostka każda dzieło odradza i wzbogaca nową treścią psychiczną; dzieło w ten sposób staje się czymś ciągle żywym, czymś wciąż życie tworzącym i tworzącym nową kulturę. To nie jest subiektywizm w przeżyciu czy w ocenie dzieła, ale to jest ogarnięcie go z nowego, przez inne czasy nieprzeczuwanego stanowiska i odkrycie w nim nowych światów.

Bodaj czy nie pierwszy pojął to C. K. Norwid w „Milczeniu”, wprawdając koncepcję przemilczeń: każda epoka i każdy fakt, a zatem i dzieło sztuki — zawierają w sobie pewną część prawdy niedostępną od razu, ale dopiero pojmowanej i odkrywanej przez czasy, które po nich następują.

Ale nasz sąd o dziele sztuki nie jest tylko wyrazem naszego przeżycia estetycznego. Sąd nasz o dziele, o jego zawartości, o jego formie, o jego roli w życiu socjalnym i narodowym, o jego znaczeniu — jest wyrazem naszych przekonań etycznych i naszych przekonań społecznych. Każdy bowiem sąd o zjawiskach życia — a dzieło sztuki jest nim — wynika z naszej postawy wobec życia. Te dwie rzeczy nie dadzą się od siebie oddzielić w postawie człowieka wobec dzieła tzn. w procesie poznawania go i wydawania o nim oceny, ale także nie jesteśmy w stanie oddzielić ich w samym dziele sztuki. Nie znaczy to, że nasze przekonania etyczne i socjalne, albo, że kryteria pozaestetyczne regulują sąd estetyczny, tak samo

jak nikt nie będzie twierdził, że o artyzmie dzieła rozstrzyga wyrażony w nim pogląd na świat. Te dwie postawy tzn. etyczna i estetyczna współistnieją obok siebie i wzajemnie działają na siebie, wzajemnie się kształtują i wzajemnie tworzą dzieło, a także z nich — niby z dwu źródeł w pewnym momencie połączonych — płynie nasz sąd o dziele sztuki.

Dzieło nie jest tylko konkretną cząstką świata fizycznego jako pewna bryła, jako płótno nałożone farbami, jako dźwięk. Dzieło jest naszym przeżyciem, jest naszą wizją wywołaną w nas przez ów przedmiot. Badanie dzieła sztuki jest w pierwszym rzędzie badaniem treści, jaką przedmiot estetyczny w nas wywołał, ale treści uzupełnianej stale naszym w nią wkładem. Sam obiekt budzący za chwyt służy do zbadania elementów technicznych, które się na ten obiekt złożyły; ale nie technika i nie ornamentyka dzieła mówią o jego istocie. Rozstrzygającą jest tu owa wizja artystyczna, do której podniety samo dzieło dostarczyło dojrzaną przez nas fikcją optyczną wyposażoną w pewną treść emocjonalno-myślową i z nią współistniejącą.

W sztuce istnieje bardzo silnie rozwinięty instynkt wartości, ona nie godzi się na zasadę równości, gdyż byłoby to zagładą sztuki. Sztuka uznaje przodownictwo wartości i uznaje podział na rzeczy wielkie i małe, w zależności od autonomicznych artystycznych wartości, w zależności także od ideowości dzieł tzn. od ich ideowego trzonu, ale uznaje także istnienie hierarchii wedle wartości heteronomicznych tj. hierarchii grup. Istnienie tej hierarchii konstatujemy w dziedzinie sztuki literackiej w sposób oczywisty, a jedną z przyczyn tego jest fakt, że tutaj każdy gatunek literacki wymaga spełnienia odmiennych postulatów artystycznych, postulatów raz wielkich i ważnych, to znowu małych i drugorzędnych, ale zawsze istotnych dla charakteru utworu i wymaga spełnienia pewnych postulatów natury filozoficznej. Cała różnorodność zjawisk owych rozstrzyga o hierarchii gatunków literackich.

Wiedzieli o tym ludzie starożytni i renesansowi, wiedzieli klasycy i romantycy, a przekonania swoje próbowali poprzeć argumentami zaczerpniętymi z życia literatury, albo po prostu narzucili jako pewnik, jako rzecz oczywi-

stą. Chociaż samo zagadnienie hieratyczności gatunków literackich rozmaicie w rozmaitych epokach kultury ujmowano, przecież na ogół wzięwszy za najwyższy rodzaj poetycki uważano epopeję.

Tak było przede wszystkim w starożytności. Trzy literatury wnoszą ją wtedy na naczelną miejscę w dziejach kultury duchowej: indyjska, żydowska i grecka. Religia i historia były jej źródłem i były czynnikiem ją kształtującym. Religia otwierała perspektywę na najwyższe cele życia i dawała wiarę w sens życia, historia pokazywała to życie jakim było w swej wspaniałości i w całej nie doli. Tak wiązały się w jednym utworze i ton sztuce nadawały dwa światy, świat nadmysłowy i świat fizyczny, a w takiej interpretacji z religii spływała sankcja na życie historyczne. Starożytne bowiem utwory epickie były jednocześnie księgami świętymi i księgami mądrości życiowej, były albo same „Słowem bożym” — jak biblia, albo też wiecznej prawdy interpretatorem — jak poematy Homera, a w jednym i w drugim wypadku były głosem życia narodowego: przywoływały na pamięć pokoleń — dzieje ojców. A chociaż Arystoteles w „Poetyce” wypowiedział się przeciw pierwszeństwu epopei, twierdząc, iż świetniejsze są elementy artystyczne tragedii, mimo to właśnie epoki klasyczne nadal wyższość przyznawały eposowi. Dopiero romantycy dramat uznali za gatunek najlepiej odpowiadający epoce: Victor Hugo stwierdzał w przedmowie do „Cromwella”: „la poesie de notre temps est donc le drame”, a Mickiewicz w kursach paryskich: „dramat jest najsilniejszą realizacją poezji sposobami sztuki”.

Nerwowej, dynamicznej, lirycznej, dramatycznej epoce romantyzmu, epoce wstrząsów i niepokojów, walki i ustawicznej świadomości, że tymczasowością jest wszystko, co jest na ziemi, epoce rozlewności nabrzmiałej uczuciowością nie mógł odpowiadać spokojny charakter sztuki majestatycznej, epickiej. Natomiast marzyły o eposie epoki klasyczne, zapatrzone w piękno poematów Homera. Teoria poezji głosiła to przekonanie jasno i stanowczo ustami Boileau a u nas w trzecim wydaniu „Sztuki Rymotwórczej” Fr. Dmochowski znacznie to silniej podkreślał, niżeli w wydaniu pierwszym. Trzecie bowiem wyda-

nie akcentowało zdecydowanie prymat epopei w rzędzie całej poezji:

Ta, która czyni wielkich bohaterów głosi
Na sam się szczyt Parnasu
Epopea wznosi.

Nie ulega wątpliwości, że do takiego ujęcia przyczynił się fakt przejścia przez Europę kultury duchowej ze starożytnej Grecji i wkorzenionego w nią kultu Homera. Boski pieśniarz z Hellady zapalił w duszy pokoleń nowożytnych entuzjazm dla takiej poezji, jakiej on był twórcą i narzucił całym stuleciem pewien ideał twórczy, który one usiłowały osiągnąć i zrealizować. Każdy zaś naród uważał swoje epopeje za największy, uczuciowo najcenniejszy klejnot. Tak było w Rzymie z „Eneidą” Wergilego, tak było w literaturze włoskiej z „Boską Komedią” Dantego (ukończoną w r. 1321, pierwsze rękopisy po r. 1333), epopeją typu odmiennego od homerowskiej i formą i duchem, epopeją religijną, teologiczną, będącą jednak syntezą artystyczną włoskiego życia i będącą jednocześnie najpełniejszym przejawem kultury średniowiecza. Ceniusz włoskiego renesansu stworzył obok niej chrónologicznie pierwsze wielkie epos nowożytne „Jeruzolimę Wyzwoaloną” Tassa (wyd. 1581). Chlubę narodowej literatury portugalskiej i jej szczytowe osiągnięcie stanowi epos Camoensa o wyprawie Vasco de Gamy do Indii „Os Lusíadas” (wyd. 1572), przedstawionej przez poetę jako symboliczny skrót narodowych dziejów. Toż samo spostrzegamy w literaturach słowiańskich, a więc w staroruskiej, gdzie obok byłin pierwsze miejsce zajmuje arcydzieło epoki słowiańskiej dawnej — „Słowo o puku Igora” z końca XII w.; w serbo-chorwackiej za największe arcydzieło uchodzi poemat epiczny Gundulicia „Osman” z XVII w. (odkryty w r. 1818); w polskiej — „Pan Tadeusz”.

W tych zaś literaturach, których arcydzieła należą do innej dziedziny, epos odgrywa rolę, mimo to, dużą. Tak więc w trzech literaturach zachodnich — francuskiej, angielskiej, niemieckiej — na najwyższym poziomie stanęła literatura dramatyczna twórczością Corneille’a, Racine’a, Shakespeare’a, Goethego; ale i tutaj wysoką pozycję zajęły dzieła sztuki epickiej — francuski cykl rycerski „Chansons de geste”; religijne epos angielskie — „Raj utracony” Milto-

na; średniowieczne „Nibelungi” niemieckie, osiemnastowieczna „Messiada” Klopstocka i „Herman i Dorotea” Goethego.

Takie zaś stanowisko epopei nie jest wynikiem przypadku, ani samej sugestii od zewnętrznych czynników pochodzącej. W jej charakterze są te cechy, które o jej wyniesieniu, ważności i wielkości decydują. Najpierw bowiem jej stro na zewnętrzna, jej rozmiary sprzyjają temu, ażeby pokazać piękno w jego najrozmaitszych postaciach wszechstronnej i obszernej, aniżeli na to pozwalają ramy innych gatunków literackich, liryki i dramatu. Epopeja jest jak gdyby encyklopedią poezji, w której znajdują się obok elementów epickich — tragiczne i komiczne, sielanki i dydaktyczne, satyryczne i liryczne. Wskutek tego swego charakteru może ona szerzej, głębiej i pełniej odmalować naturę człowieka. A przeciw celem ostatecznym literatury — i zresztą całej sztuki — jest pokazanie rzeczy na świecie najwspanialszej i najbardziej nas interesującej, mianowicie duszy ludzkiej czyli stworzenie portretu człowieka. O stworzenie tego portretu kuszą się wszystkie gatunki i rodzaje literackie, ale epika ma w tym względzie i większe pole i większe, bardziej wszechstronne możliwości.

Liryka bowiem, jako wyraz przeżyć samego poety jest najbardziej subiektywną ze sztuk; epik zaś, podobnie jak dramaturg, obserwuje świat i ludzi i przedstawia ich, czyli jeden i drugi nie mówią o sobie wprost, ale za pośrednictwem innych postaci wypowiadają swój stosunek do życia. Dramaturg i epik są zatem bardziej obiektywni i bardziej ogólnie ludzką zajmują postawę wobec zjawisk życia, gdyż obchodzą ich w zasadzie nie jakieś momentalne przeżycia indywidualne (jak liryka), czy też drobne i obiektywne mniej ważne cechy i zjawiska psychiki ludzkiej (która dla poety są subiektywnie nieraz bardzo ważnymi), ale sięgają w głąb duszy i wydobywają jej rysy najistotniejsze, albo też stałe i niezmiennie. Gdy jednak dramaturg do tego się ogranicza, epik sięga dalej i głębiej, interesuje go bowiem nie tylko życie psychiczne człowieka, ale i świat zewnętrzny człowieka otaczający. Tak więc sam materiał epika jest, obszerniejszy od materiału liryka i dramaturga, dla których zjawiska są poza psychiką ludzką istniejące są w gruncie rzeczy obojętne i nieważne, a jeżeli występują w ich dziele, to tylko dlatego, że nie można nigdy oderwać psychicznego życia człowieka od tła zewnętrznego, na którym się ono rozwija, od warunków socjalnych, politycznych, ekonomicznych, kulturalnych, od życia przyrody. Materiał ten jest wyzyskany w epice obszerniej już ze względu na jej charakter, epika bowiem opowiada o świecie i jego wydarzeniach, dramat pokazuje świat. Otóż opowiedzieć można rzecz każdą, całą przeszłość i współczesność, wszystkie wydarzenia ważne i drobne i to nie tylko w ogólnych konturach, ale dokładnie i z wszystkimi szczegółami. Natomiast dramaturg musi się ograniczać ze względów technicznych, musi dokonywać wyboru i wybierać ze zjawisk — jak to najsluszniej zauważył Victor Hugo — to, co charakterystyczne.

(dokończenie na str. 11-iej)

Najbliższy numer „Dziś i Jutra” będzie posiadał charakter specjalny jako poświęcony w całości Pismu Świętemu.

Ukażą się w nim m. in. prace następujących autorów:

H. Collaye’a

G.K. Chestertona

K. Górskiego

W. Kętrzyńskiego

Z. Kubiaka

J. Nowak-Dłużewskiego

Z. Lichniaka

M. Priszwin

Tłum z rosyjskiego B. W.

J A R I K

Na porębie wokół starych czar-nych pni było mnóstwo wysokich, jodełkowatych, czerwonych kwia-tów i od nich cała poręba wyda-wała się czerwona, chociaż znacz-nie więcej rosło tu bratków pol-nych — kwiatów w połowie nie-bieskich, a w połowie żółtych; du-żo tu było także i białych rumian-ków z żółtym guziczkiem w ser-duszku, niebieskich dzwonków polnych i leśnych, liliowych pan-tofelków — były najprzeróżniej-sze kwiaty, ale od czerwonych jo-dełek czerwieniła się cała poręba. A przy czarnych pniach można jeszcze było znaleźć przejrzałe i bardzo słodkie poziomki.

W lecie deszczyk nic nie szkodzi, więc przesiedziałem go pod jodłą, gdzie także, chroniąc się w suche miejsce przed deszczem, ze-brały się komary i chociaż dymie-łem na nie ze swojej fajki, bardzo męczyły mego psa, Jarika. Trze-ba było rozpalić ognisko; z jodło-wych szyszek zaczął walić gęsty dym i szybko wyparliśmy komary i przegnali je na deszcz. Ale jeszcze nie skończyliśmy rozpra-wy z komarami, gdy deszczyk ustał.

Deszczyk letni to tylko przy-jemność.

Trzeba jednak było przesiedzieć pod jodłą jeszcze z pół godziny i doczekać się, aż ptaki wyjdą ze-rownąć i zostawią na rosie świeże ślady. Kiedy według moich obli-czeń nadeszła pora, wyszliśmy na czerwoną polanę i powiedziawszy: „Szukaj przyjaciela”, puściłem swojego Jarika.

Jarik poluje już trzeci rok. Prze-chodzi on pod moim kierownic-twem wyższy kurs irlandzkiego setera; trzeci sezon to koniec nau-ki i jeżeli wszystko odbędzie się pomyślnie, w końcu lata będę miał najlepszego na świecie psa myśliwskiego — wyczonego prze-

ze mnie irlandzkiego setera, nie-strudzonego i z bardzo czułym węchem.

Często patrzę z zazdrością na nos swojego Jarika i myślę: „Ach, gdybym to ja miał taki aparat, wybiegłbym na wiatr, na kwietną czerwoną porębę i chwyciłbym i ło-wił interesujące mnie zapachy”.

Lecz my nie mamy wężu i po-zbawieni jesteśmy ogromnej przy-jemności. Ciągłe pytamy: „Jak pański wzrok, czy pan dobrze sły-szy?”, ale nikt z nas nie spyta: „Jaki pan ma węch, jak pana nos?”.

Wiele lat tresuję psy myśliw-skie. Zawsze, gdy pies poczuje zwierzynę i poprowadzi, uczu-wam wielkie radosne wzruszenie i czę-sto myślę: „Co by to było, gdy-bym to ja a nie Jarik czuł zwie-rzynę?”.

— No, szukaj! — powtórzyłem swemu przyjacielowi.

I Jarik ruszył wokół po czer-wonej porębie. Wkrótce zatrzy-mał się na skraju lasu pod drze-wami, starannie obwąchał miej-sce i zezem, bardzo poważnie spojrzawszy na mnie, poprosił, że-by iść za nim: rozumiemy się z nim bez słów doskonale. Popro-wadził mnie za sobą bardzo powoli, a sam przychyłał się do zie-mi i stał się zupełnie podobny do lisa.

Tak podeszliśmy do gęstych za-rosli, przez które przeleźć mógł tylko Jarik, ale puścić go tam sa-mego nie odważyłbym się: sam mógłby się skusić, rzucić się na ptaki mokre od deszczu i zmarno-wać wszystkie moje wysiłki przy tresurze. Z żalem chciałem go już odwołać, gdy nagle machnął swo-im wspaniałym, podobnym do skrzydła ogonem i spojrzął na mnie; zrozumiałem, że mówi:

„One tu nocowały, a żerowały na polanie z czerwonymi kwiatami”.

— Co więc robić? — zapytałem.

Powąchał kwiaty: śladów nie było. I wszystko stało się jasne: Deszczyk zmył wszystkie ślady a te, po których szliśmy, przechowa-ły się dlatego, że były pod drze-wami.

Trzeba było zrobić nowy krąg po porębie, aby spotkać nowe śla-dy, powstałe już po deszczu. Ale Jarik nie przeszedł i połowy krę-gu, gdy już zatrzymał się koło niewielkiego, lecz bardzo gęstego krzaka. Czuł zapach cietrzewi przy zbliżaniu się, więc stanął w bardzo osobliwej pozie, zgął się cały w tuk i gdyby chciał, mógłby dowoli przypatrywać się swe-mu wspaniałemu ogonowi.

Podeszedłem do niego, wyprosto-wałem go i powiedziałem szep-tem: — Idź, jeżeli można!

Rozgiął się i spróbował dać krok wprzód. Okazało się, że iść można, chociaż bardzo wolno. Tak, obszedłszy cały krzak wokół, dał mi do zrozumienia: „Były tu w czasie deszczu”.

I już po zupełnie świeżym śla-dzie, po rosie, po widocznej okiem zielonej ścieżce na siwej od kropel deszczu trawie poprowadził mnie, dotykając swoimi długimi „piórami” na ogonie samej ziemi.

One zapewne usłyszały nas i także poszły naprzód. Zrozumiałem to, patrząc na Jarika, który mi zameldował po swojemu:

„Idą przed nami bardzo bli-sko”.

Wszystkie ptaki weszły w wiel-ki krzak jałowca i tu Jarik zrobił „martwą stójkę”. Dotychczas po-zwalał sobie jeszcze co jakiś czas rozwiierać paszczę i sapać wysu-wając wielki, różowy język, teraz zaś pysk był silnie ściśnięty i tyl-ko małe koniuszek języka, który nie zdążył na czas wrócić do paszczy, sterczał mu spod wargi jak różowy płatek. Na tym różo-wym koniuszku usiadł komar,

wessał się, zaczął napełniać się krwią i było widać jak ciemno-brązowa, jakby ceratowa plamka na nosie Jarika drżała z bólu i chwiała się od woni, ale nie było możliwości schowania języka: jeżeli otworzyć pysk, to może się stam-tąd wyrwać schuchnięcie i ptaki się spłoszą.

Lecz ja nie denerwowałem się tak, jak Jarik, podeszedłem ostro-żnie, zgrabnym prztyczkiem zrzu-ciłem komara i przyjrzałem się Ja-rikowi z boku: jak wyrzeźbiony stał on z wyciągniętym w linii ple-ców ogonem — skrzydłem, a ca-łe życie zebrało się u niego w dwóch punkcikach oczu.

Ostrożnie obszedłem krzak i sta-nałem naprzeciw Jarika, aby pta-ki nie uciekły niewidziane przez nas za krzak, lecz wzniosły się w powietrze.

Dosyć długo staliśmy tak i oczy-wiście one w krzaku dobrze wie-działy, że my stoimy z obu stron. Zrobiłem krok ku krzakowi i usły-szałem głos cietrzewi matki, któ-ra kwoknęła, mówiąc tym do swo-ich dzieci:

„Lecę popatrzeć a wy tymcza-sem siedźcie”.

I ze straszonym trzaskiem wyle-ciała.

Gdyby pofrunęła na mnie, to Ja-rik by się nie ruszył a nawet gdy by zwyczajnie przeleciała nad nim to nie zapomniałby, że główna zdobycz siedzi w krzaku i jakie to straszne przestępstwo biec za wzlatującym ptakiem. Ale duży szary ptak, niemal wielkości kury, nagle skreślił w powietrzu, przela-tując prawie pod samym nosem Jarika i tuż nad ziemią poleciał wolniutko, wabiąc go krzykiem:

„Goń mnie, ja nie umiem fru-wać!”

I jak trafiony, upadł na trawę w odległości dziesięciu kroków i pobiegł po ziemi, chwiejąc wyso-kimi czerwonymi kwiatami.

Teraz Jarik nie wytrzymał i za-pomniałszy o latach mojej nauki rzucił się...

Podstęp udał się, ptak odcia-gnął zwierza od stadka i krzyk-nąłszy dzieciom: „Lećcie, lećcie wszystkie w różne strony”, sam nagle poderwał się nad lasem i zniknął.

Młode cietrzewięta rozbiegły się we wszystkie strony i Jarikowi zdawało się, że słyszy z daleka sło-wa: „Głupiec, głupiec!”

— Wracaj! — krzyknąłem do swego oszukanego przyjaciela.

Zorientował się i z poczuciem winy, powoli zaczął zbliżać się do mnie.

Umyslnie smutnym głosem py-tam:

— Coś ty zrobił?

Pies położył się.

— No chodź, chodź!

Pełnie zawstydzony, kładzie mi głowę na kolano i bardzo prosi o przebaczenie.

— Dobrze — mówię, chowając się w krzak — włącz za mną, siedź cicho i nie sap: zaraz my tu z to-bą wykiwamy całe to towarzy-stwo.

Po dziesięciu minutach świszczą cichuteńko, jak cietrzewięta: Fiu, fiu! (Znaczy to: „Mamo, gdzie ty?”).

— Kwok, kwok — odpowiada ona, co znaczy: „Idę”.

I naraz z różnych stron zaświ-stało, jak ja:

— Mamo, gdzie ty?

— Idę, idę, — odpowiada wszy-stkim ptak.

Jeden kurczak świszczę bardzo blisko ode mnie, ja mu odpo-wiadam, on biegnie i oto widzę, że przy samych moich nogach ru-sza się trawa.

Spojrzawszy Jarikowi w oczy i pogroziwszy mu pięścią, szybko nakrywam dłonią ruszające się miejsce i wyciągam szarego kur-czaka wielkości gołębia.

— No, powąchaj — mówię ci-chutko do Jarika.

On odwraca nos, boi się, że chapnie.

— Nie, bracie, nie, — powia-dam smutnym głosem — powa-chaj że!

Wącha, a sam sapie jak paro-wóz.

To jest najgorsza kara.

Teraz już gwizdzą śmiało i wiem, że matka na pewno przy-jdzie do mnie; wszystkie pisklęta zbierze, jednego jej będzie brako-wało i przyjdzie po nie.

Wszystkich kurcząt, oprócz mo-jego jest siedem: słyszę jak jedno za drugim, odszukawszy matkę, milknie i gdy wszystkie zamilkły, ja, ostatni, pytam:

— Mamo, gdzie ty?

— Chodź do nas — odpowiada.

— Fiu, fiu! (Nie, ty prowadź wszystkich do mnie).

Idzie, biegnie. Widzę jak z tra-wy to tu, to tam, jak szyjka butel-ki, wysuwa się jej głowa, a za nią wszędzie kołysze trawą całe jej stadko.

Wszystkie one siedzą o dwa kro-ki ode mnie, więc mówię oczami do Jarika:

— No, nie bądź głupi!

I puszcza-m „szwaczki” zewi-ka.

On udziela mi „szwaczki” krzak i wszystkie ptaki uderzają, wszyst-kie wzlatują.

A my z Jarikiem patrzemy z krzaka za odlatującymi i śmieje-my się:

— Aleśmy was oszukali, oby-watele!

M. Priszwin

B. M. Długoszewski

O BIBLIJ KROLOWEJ ZOFII

Na przelomie XVIII i XIX stulecia wśród badaczy i mi-łośników zabytków piśmien-nictwa polskiego wzbudziła wielkie zainteresowanie wieść o odnalezieniu w bibliotece kolegium Saros - Patak starożyt-nej polskiej biblii, tłumaczonej przez królową Jadwigę. Celem uzyskania ściślejszych infor-macji o odnalezionej biblii zwrócono się do węgierskiego uczonego Jana Mailath, który

wraz z reprodukcją pierwszej karty biblii nadesłał następują-ce wyjaśnienia:

Widzę się na koniec w stanie przesłać żądane objaśnie-nie względem biblii królowej Jadwigi. Odbieram w tej chwili od kolegium reformowanego de Saros - Patak odpowiedź na zapytania, którym mu przesłał. List ich jest w języku węgier-skim. Wierna treść onego brzmi jak następuje:

Błędne mniemanie, jakoby biblia, o której mowa, tłuma-czona była przez Królową Jad-wigę, pochodzi od młodego hra-bi Teleki, który widząc w tej biblii imię Jadwigi wniósł, że ją samą ta królowa tłumaczy-ła.

Biblia w Saros - Patak tłuma-czona jest z rozkazu królo-wej Zofii, żony Władysława Jagiełły w r. 1455. Dowodzi to pismo polskie w tejże biblii na okładce przyklejone w tych słowach:

Przelozone sa thy ksiegi ex Hieronymi translazione za Krola Polskiego Kazimierza Oica Sigmunta Krola, na żada-nie mathi Kazimiera Zophiey Krolowej Polskiej roku od

naro: pana Christa 1455 przez slachitnego Kwie jendrzeia z Jaszowic kaplana tey Krolowej a pissane w nowym mieście 10 mil od Krakowa. Przypowinsti Salomonowych Ecclesiata togost, Piesni ingo mandrosoci, Siracha 4 wielkich Prorokow, a dwanascin ma-lych.

Sophia krolowa, ktorey teoto Biblia napisano Roku 1455 by-la corka Andrzeja Ksiazecia Kyiowskiego Greckiej wiary, ktora Jagiela Krol inz stary bi-dac poial Roku 1422 y byla mu czwarta a ostatnia zona. We dwie lecie ta biblia iest przepi-sana. Byla przed tym Biblia na Polsky iazyk przelozona okolo roku Panskiego 1390 za stara-niem y nakladem Krolowej Polskiej Jadwigi pierwszey zony Jagiela Wladislawa Krola Polskiego, o ktorey pisze Mi-chowita i ze testament Nowy y Stary dawszy sobie po Pol-sku napisat, pilne tzitala.

Biblia ta stala się własnością kolegium reformowanego w Saros - Patak przez zapis ksią-żąt Rakoczych, Jerzego Igi Sie-dmiogrodzianina i jego syna Zygmunta w roku 1648. Skąd

się do Rakoczych dostała ta bi-blia, wiadomo nie jest.

Z Budy d. 30. Stycznia 1822.

JAN MAILATH“.

Powyższe wiadomości i re-produkcję pierwszej karty bi-blii znajdujemy w pamiętni-kach historycznych J. U. Niem-cowicza. Dla ułatwienia odczy-tania pisma gotyckiego zają-tych autor tekst karty zastępu-jąc gotyk alfabetem łacińskim.

„POCZYNAIA SIE PIERWE KSZOGI MOYZESZOWE GENESIS.

Na pocotcze Bog stworzył niebo i ziemia, a ta ziemia by-la nieuzyteczna, a prozna, a cma byla na twarzy przepasci, a duch Bozy noszył sie nad wo-dami. I rzekl Bog badz swiatlo, i stworzona swiatlosc a uyrzal Bog swiatlosc, i ze iest dobra i rozdzielił swiatlosc ode cmy, i nazwał iest, swiatlosc dniem, i cme nocza, i uczynił wieczor a swit dzien ieden. Lepak rzecze Bog badz stworzenie rozpo-starcie wposzrzod wod, a roz-dzieliel wody od wod“.

Podał do druku

B. M. DŁUGOSZEWSKI.

Każdy katolicki działacz społeczny
KAZDY KATOLIK
 musi
 przeczytać książkę
Ks. F. Mirka
ZARYS SOCJOLOGII

Wyd. Katolickiego Uniwersytetu
 Lubelskiego 1948 r.
 Do nabycia w księgarniach
 katolickich.

Graham Greene

Tłum. Jacek Woźniakowski

MAJOR SCOBIE

Zamieszczamy poniżej fragment powieści słynnego katolickiego pisarza Graham Greene'a pt. „Sedno sprawy” która w najbliższych tygodniach wydana zostanie przez Inst. Wyd. „Pax” jako następną pozycję powieściową po „Pod Słońcem Szatana” i „Chwale Córy Królewskiej”.

Syreny wyły na zaciemnienie, wyły poprzez deszcz, który padał niustannymi łzami; boje wleźli do pomieszczeń kuchennych i zaryglowali za sobą drzwi, jakby chroniąc się przed jakimś puszczającym diabłem. Trzysta sześćdziesiąt sześć centymetrów wody spływało bez przystanku zwartą masą na dachy portu. Trudno było wyobrazić sobie, żeby jacyś ludzie — cóż dopiero wyciśnięci gorączką, gnębieni nieszczęśliwością z terytorium Vichy — mogli rozpocząć atak o tej porze roku; a jednak pamiętało się oczywiście o wzgórzach Abrahama... Jeden śmiały czyn może całkiem zmienić pojęcie o tym, co jest możliwe.

Scobie wyszedł w mokrą ciemność, trzymając wielki, pasiasty parasol: płaszcz nieprzemakalny byłby za gorący. Obszedł całe swoje domostwo; nie dojrzał nigdzie ani światełka; okiennice w kuchni zamknięto, a domy Kreolów były niewidoczne poprzez deszcz. W parku samochodowym za drogą błysnęła na chwilę latarka, ale kiedy krzyknął, zgasała; był to przypadek; nikt by nie mógł usłyszeć jego głosu wśród bębnie nia deszczu po dachu. Messa oficera na Cape Station świeciła wilgotno w kierunku morza, ale to nie leżało w zakresie jego odpowiedzialności. Reflektory ciężarówek wojskowych biegły jak sznur paciorków wzdłuż skrajów wzgórz, ale to także nie była jego sprawa. Obok drogi za taborem zapaliło się nagle światło w jednym z fińskich domków, w których mieszkali niżsi urzędnicy; był to domek nie zajęty jeszcze poprzedniego dnia; pewnie ktoś przyjezdny właśnie się tam wprowadził. Scobie pomyślał o wyciągnięciu samochodu z garażu, ale domek był oddalony zaledwie o kilkaset metrów, więc poszedł piechotą. Poza głosem deszczu — na drodze, na dachach, na parasolu — panowała absolutna cisza; tylko zamierające wycie syren wibrowało jeszcze w uszach przez kilka chwil. Nieraz później wydawało się Scobiemu, że osiągnął wtedy ostateczny kraniec szczęśliwości: był w ciemnościach, sam, wśród deszczu, bez miłości czy litości.

Zapukał do drzwi fińskiego domku głośno, bo deszcz uderzał w czarny dach, jak w tunel; musiał zapukać dwa razy, nim się drzwi otworzyły. Światło oślepiło go na chwilę. Powiedział: — Proszę wybaczyć, że niepokoję. Widać tu światło.

Kobiety głos odparł: — Och, przepraszam. To nieuwaga... W oczach mu się przejaśniło, ale przez chwilę nie mógł związać żadnego nazwiska z tymi intensywnie porysowanymi rysami. Znał wszyskich w kolonii. To było coś, co przyszło z zewnątrz... rzeka... wczesny poranek... umierające dziecko...

O — powiedział — pani Rolt, prawda? Myślałem, że pani jest w szpitalu?

— Tak. Kto pan jest? Czy znam pana?

— Jestem major Scobie, z policji. Widziałem panią w Pendle.

— Bardzo mi przykro — rzekła — ale nie pamiętam nic z tego, co się tam działo.

— Czy można pani uszczelnić zaciemnienie?

— Naturalnie. Proszę. — Wszedł do środka, zesunął firanki i przestawił lampę. Domek był przdzielony zasłoną na dwie części: po jednej stronie łóżko, prowizoryczna toaleta; po drugiej stół, para krzesel — kilka takich gratów, jakie przyznaje się niższemu urzędnikom z pensją mniejszą niż 500 funtów rocznie. Odezwał się:

— Niezbyt wspaniale panią zaopatrzyli, prawda? Szkoda, że nie wiedziałem. Byłbym pomógł. — Widział ją teraz z bliska: młoda, wyniszczona twarz, zmatowiałe włosy... Pyjama, którą miała na sobie, była na nią za duża: ciało się w niej gubiło; spadała w brzydkich fałdach. Spojrzał, żeby się przekonać, czy obrączka na palcu jest nadal luźna; ale w ogóle jej nie było.

— Wszyscy byli strasznie dobrzy dla mnie — rzekła. — Pani Carter dała mi śliczny puf.

Jego oczy powędrowały dookoła; nie było nigdzie nic osobistego; żadnych fotografii, książek, żadnych drobiazgów — ale przypomniał sobie, że przecież nic nie wyniosła z morza poza sobą samą i albumem znaczków.

— Czy grozi jakieś niebezpieczeństwo? — spytała z niepokojem.

— Niebezpieczeństwo? — Te syreny.

— Ach, nie, nic nie grozi. To tylko alarm. Mamy mniej więcej jeden alarm na miesiąc. Nic się nigdy nie zdarza. — Znowu patrzył na nią długo. — Nie powinni byli wypuścić pani tak wcześnie ze szpitala. Nie ma jeszcze sześciu tygodni.

— Chciałam pójść stamtąd. Chciałam być sama. Ludzie ciągle przychodzili mnie odwiedzać.

— No tak. Teraz ja sobie pójdę. Proszę pamiętać, gdyby pani czegoś potrzebowała, że mieszkam tam dalej, obok drogi: jednopiętrowy biały dom za taborem wojskowym, na mokrą dach.

— Czy nie poczeka pan, aż deszcz ustanie?

— Nie myślę, żeby się dało. Widzi pani, pada tak aż do wrześnie — wydostał od niej sztywny, niewprawy uśmiech.

— Jaki straszny hałas.

— Człowiek przywyka po kilku tygodniach. Tak jakby się mieszkano obok kolei. Ale pani nie będzie musiała się przyzwyczajać. Poślą panią wkrótce do kraju. Jest statek co dwa tygodnie.

— Czy nie wypilby pan czegoś? Pani Carter dała mi nie tylko puf, ale i butelkę ginu.

— W takim razie chyba pomogę pani wypić ją. — Kiedy wydobyła butelkę, zauważył, że była wypróżniona prawie do połowy. — Czy ma pani cytryny?

— Nie.

— Spodziewam się, że dacie pani boya?

— Tak, ale nie wiem, o co go prosić. I jakoś nigdy go nie widać w pobliżu.

— Pani pije czysty gin?

— Och nie, nie tknęłam go. To boy wywrócił flaszke — tak twierdzi.

— Porozmawiam rano z boym pan — rzekł Scobie. — Ma pani lodówkę?

— Tak, ale boy nie może dostać dla mnie lodu. — Usiadła



GRAHAM GREENE

na krzesie, znużona. — Niech pan nie myśli, że jestem głupia. Tylko sama nie wiem, gdzie się dostałam. Nigdy jeszcze nie byłam w takim miejscu.

— Skąd pani pochodzi?

— Bury St. Edmunds. W Suffolk. Byłam tam osiem tygodni temu.

— Nie, nie była pani tam. Była pani w tej łodzi.

— Rzeczywiście. Zapomniałam o łodzi.

— Nie powinni byli puścić pani ze szpitala tak zupełnie samej.

— Jest mi całkiem dobrze. Potrzebowali mojego łóżka. Pani Carter powiedziała, że znajdzie dla mnie miejsce, ale wolałam być samą. Doktor powiedział im, żeby robili to, co chcą.

Scobie rzekł: — Rozumiem, że pani nie miała ochoty być z panią Carter, i niech pani tylko powie słowo, a mnie też już nie będzie.

— Wolałabym, żeby pan czekał aż do odwołania alarmu. Jestem trochę roztrzęsiona, wie pan. — Wytrzymałość kobiet zawsze zdumiewała Scobię. Ta tutaj przeżyła czterdzieści dni w otwartej łodzi i mówiła, że jest roztrzęsiona. Przypomniał sobie wypadki wyliczone w sprawozdaniu, które złożył naczelny inżynier: trzeci oficer i dwóch marynarzy zmarło, a palacz postradał zmysły wskutek picia morskiej wody i utopił się. Kiedy przychodzi napięcie, załamuje się zawsze mężczyzna. Teraz zapadła w swoje osłabienie niby w poduszkę.

Powiedział: — Czy myślała już pani, co dalej? Czy wróci pani do Bury?

— Nie wiem. Może dostanę posadę.

— Czy ma pani jakąś praktykę?

— Nie — przyznała odwracając oczy. — Widzi pan, skończyłam szkołę dopiero rok temu.

— Czy nauczyli panią czegoś? — sądził, że przede wszystkim trzeba jej rozmowy, głupiej, bezcelowej rozmowy. Zdałoby jej się, że chce być sama, ale w istocie bała się strasznej odpowiedzialności, jaką nakłada odbieranie współczucia. Jak

że mogło takie dziecko grać rolę kobiety, której mąż utonął niemal w jej oczach? Równie dobrze można by oczekiwać, że zagra rolę lady Makbet. (Pani Carter nie miałaby życzliwości wobec jej niedorośnięcia do sytuacji. Pani Carter wiedziałaby naturalnie, jak się zachować: pogrzebała jednego męża i troje dzieci). Przerzywając jego myśli odezwała się: — Najmocniejsza byłam w siatkówce.

— No, nie bardzo pani wygląda na nauczycielkę gimnastyki. A może jednak, kiedy pani jest zdrowa?

Nagle i bez ostrzeżenia zaczęła mówić; jakby przez nieopatrzne użycie hasła doprowadziła do otwarcia drzwi; nie umiałaby teraz powiedzieć, jakie to słowa stały się kluczem. Może „nauczycielka gimnastyki”: bo zaczęła opowiadać mu przedko o siatkówce (pomyślał, że pani Carter rozmawiała z nią zapewne o czterdziestu dniach w otwartej łodzi i o mężu, który był nim od trzech tygodni). — Byłam przez dwa lata w reprezentacji szkoły — powiedziała podniecona, pochylając się, opierając brodę na dłoni i kościsty łokieć na kościstym kolanie. Ze swoją białą skórą — nie poślókła jeszcze od atabryny lub słońca — przypominała mu kość, którą zmyło i wyrzuciło morze. — Rok przedtem grałam w drugiej reprezentacji. Zostałabym kapitanem, gdy bym tam była jeszcze rok. W 1940 pobiliśmy Roedean i zremisowaliśmy z Cheltenhamem.

Słuchał z tym intensywnym zainteresowaniem, jakie czuje się wobec życia kogoś obcego, z zainteresowaniem, jakie młodzi biorą za miłość. Czuł bezpieczeństwo swego wieku, kiedy tak siedział i słuchał, ze szklanką ginu w ręku, a deszcz padał i padał. Powiedziała mu, że jej szkoła leżała na wzgórzach, tuż obok Seaportu; była tam nauczycielka, Francuzka. Mlle Dupont, która miała zły charakter. Przełożona czytała po grecku całkiem jak po angielsku — Wergiliusza...

— Zawsze myślałem, że Wergiliusz, to po łacinie.

— Ach tak. Chciałam powiedzieć Homer. Nigdy nie umiałam tych klasyków.

— Czy pani w ogóle coś umiała poza siatkówką?

— Zdaje się, że byłam mocna w matematyce; choć co prawda nigdy nie umiałam trygonometrii. — W lecie chodziły się kąpać do Seaportu, a co sobotę urządzały piknik na wzgórzach — czasem „pogoń za papierkiem” na kucach, a raz miały jakąś fatalną historię na rowerach, o której głośno było w całej okolicy a dwie dziewczynki wróciły dopiero o pierwszej w nocy. Słuchał zafascynowany, obracając ciężki gin w szklance, nie pijąc go. Syreny wyjęczały poprzez deszcz odwołanie alarmu, ale żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Powiedział:

— A na wakacje wracała pani do Bury?

Okazało się, że jej matka umarła dziesięć lat temu, a jej ojciec był duchownym, sprawującym jakieś funkcje przy katedrze. Mieli małątki domek na Angel Hill. Może nie było jej równie dobrze w domu jak w szkole, bo skorzystała z

pierwszej sposobności, by opowiedzieć o pani od gier i zabaw, która miała to samo imię, co ona — Helena i dla której cała jej klasa miała ogromną *Schwärmerei*. Śmiała się teraz z tego sentymentu z wyższością; była to jedyna wskazówka, jaką mu dała, że jest dorosła, że jest — a raczej była — kobietą zamężną. Nagle urwała i powiedziała:

— Co za głupota — opowiadać panu to wszystko.

— Miło mi tego słuchać.

— Nie spytał mnie pan ani razu — wie pan —

Wiedział, bo czytał sprawozdanie. Wiedział dokładnie, jaką porcję wody miał każdy w łodzi — dwa razy na dzień kubek — po dwudziestu jeden dniach zredukowaną do połowy. Ową porcję utrzymano aż do dwudziestu czterech godzin przed uratowaniem, głównie dlatego, że zgony pozostawiły małą nadwyżkę. Poza budynkami szkolnymi Seaportu, poza boiskiem siatkówki wyczuwał to straszne falowanie; łódź uno siła się i znowu opadała, unosząc się i opadała.

— Byłam nieszczęśliwa, kiedy wyjeżdżałam — to był koniec lipca. Plakałam w taksówce przez całą drogę na stację.

Scobie policzył miesiące — od lipca do kwietnia: dziewięć miesięcy; okres ciąży; zrodziła się z tego śmierć męża, Atlantyk pchający ich, niby wrak, ku długiemu, płaskiemu wybrzeżu Afryki i marynarz, który rzucił się za burzę. Powiedział:

— To jest ciekawsze. Tamto mogę odgadnąć.

— Masę mówiłam. Wie pan, myślę, że tej nocy zasną.

— Pani dotychczas nie spała?

— Przez to oddychanie w szpitalu. Ludzie wokół mnie kręcili się i oddychali, i mruzcili. Kiedy światło gasło, było całkiem jak — wie pan.

— Tutaj będzie pani spać spokojnie. Nie trzeba się niczego bać. Jest zawsze stróż nocny na służbie. Powiem mu słówko.

— Pan jest tak dobry — rzekła. — Pani Carter i tancei wszyscy są dobrzy. — Podniosła wyniszczoną, szczerą, dziecięcą twarz i powiedziała: — Tak pana lubię.

— Ja panią też lubię — rzekł poważnie. Oboje mieli ogromne poczucie bezpieczeństwa: byli przyjaciółmi; nigdyby nie mogli być niczym innym jak przyjaciółmi — dzieliło ich tak wiele: zmarły mąż, żyjąca żona, ojciec, który był duchownym, pani od gier i zabaw — Helena, i całe lata doświadczenia. Nie potrzebowali troszczyć się o to, co sobie winni nawzajem powiedzieć.

Odezwał się: — Dobranoc. Jutro przyniosę pani kilka znaczków do albumu.

— Skąd pan wie o moim albumie?

— To mój zawód. Jestem policjantem.

— Dobranoc.

Odszedł czując się niezwykle szczęśliwy — ale tego nie będzie pamiętał jako szczęścia, tak jak zapamięta wejście w deszcz, w ciemność, w samotność.

Jan Józef Szczepański

LITERATURA

(Rzecz o bajce

MIĘDZY PILIPPAYEM A EZOPEM

Rzecz na pozór egzotyczna i odległa, w istocie jest nam bliższa niż przypuszczamy. Mało kto u nas pracował nad bajką indyjską i nad genezą bajek w ogóle, lecz jeżeli chodzi o znajomość tematyki owej najstarszej literatury, jest ona stosunkowo rozległa i powszechna, co samo przez się stanowi już ciekawe zagadnienie z zakresu historii kultury.

W artykule tym, pozbawionym naukowych ambicji, pragnę zebrać na użytek amatorów szereg charakterystycznych faktów, które na bajkę indyjską, jej wędrowki i wpływy rzucić mogą pewne ogólne światło.

Mam w tej chwili przed sobą zabawną książeczkę z 1731 roku pod sążnistym tytułem: „Ezop nowy polski, to jest: Życie Ezopa filozofa Frygiskiego, sto i oko bajek”. Autor jej, Jan Jabłonowski, wojewoda ruski, zaopatrzył swój zbiorek w przedmowę, z której kilka zdań zacytować warto dla wprowadzenia w materię. „...wszystkie prawie narody — pisze Jabłonowski — Ezopowe bajki w swoim poprzekładali wrodzonym języku. A nawet na lego kształt, manierę i przykład, swoje popisali bajki. Jako Indianin jeden, wielki pod prostoty płaszczem pokryty Polityk Azjatycki, Filippay nazwany, uczynił, którego i ja po Francuzku przetłumaczono czytając, wziętem przed się Polskiego Nowego Ezopa wystawię, w którym są i Ezopowe bajki niektóre, i Francuzkie Poety jednego Francuzkiego, zamienitego de la Fontaine, i innych autorów pozbierałem, nawet i swojej inwencji bajek dołożyłem; cogitationes umbram tristis carceris dissipantes, a wielkie światło prawdzie, obyczajom, cności i Polityce dworskiej przynoszące”.

Niezależnie od słuszności poglądów Jabłonowskiego, a raczej może poglądów epoki, na hierarchię źródeł, popularne zbiory bajek od wieków powstawały w opisanym przez niego sposób. Były to przeważnie kompilacje o dydaktyczno-rozrywkowym przeznaczeniu, przypisane zazwyczaj jakiemś zamierzczemu autorytetowi. W kręgu kultury zachodniej autorytetem tym był oczywiście Ezop. Sprawę tę postaram się omówić nieco szerzej za chwilę. Na razie zatrzymajmy się na zagadkowej postaci „polityka azyatyckiego Pilippaya”. Historia tego imienia wyznacza zarazem marszrutę największego cyklu bajek ze wschodu na zachód.

W formie Pilippay lub Pilpay spotykamy je we francuskich i angielskich tłumaczeniach bajek wschodnich, które ukazywały się dosyć licznie w osiemnastym wieku. Miał to być mędrzec, wyjaśniający za pomocą cyklu bajkowych anegdot rozmaite życiowe problemy, niestrudzony narrator, któremu czasami przypisywano wręcz autorstwo tłumaczonych zbiorów. Cofając się do wschodnich źródeł wspomnianych, europejskich przekładów, znajdziemy imię owego mędrca w najrozmaitszych fonetycznych odmianach. Będzie to więc perski Bidpai, hebrajski Sandabar lub Sindabar, względnie arabski Sindbad, znany nam zapewne najlepiej jako Sindbad — żeglarz z tysiąca i jednej nocy. Formą najstarszą, od której pochodzi zapewne wszystkie inne, jest Bidpai, imię występujące w zbiorze perskim, datującym z VI w. naszej ery. Zbiór ten, pod tytułem Kalilah - Dimnah jest tłumaczeniem, dokonany na rozkaz szacha Khosrawa Anushirwana, z kolekcji bajek indyjskich, znanych nam dzisiaj pod nazwą Pancatantra czyli „pięć ksiąg”. Tu musimy zatrzymać się nieco dłużej, bowiem wątek tradycji rozszczepia się i gmatwa. Pojęcie książki w Indiach nie jest bynajmniej pojęciem tak prostym jak to, do którego przywykliśmy na zachodzie. Każdy literacki wątek żyje tam w nieskończonych

wariantach, zmienia się zależnie od środowiska, podlega najróżniejszym redakcyjnym przeróbkom, przy czym kwestia autorstwa nie zapewnia mu w najmniejszym stopniu zasadniczej jednolitości, ponieważ autorstwo — jeśli chodzi o literaturę naprawdę starą — jest sprawą najzupełniej umowną, wkraczającą w sferę legendy. Odnosi się to tym bardziej do bajek, których pochodzenie jest ludowe i które, jeśli nawet w wędrowkach swoich dostają się na literacki parnias, to tylko po to, by ponownie wejść w ustną tradycję gminną.

To samo odnosi się oczywiście do Pancatantry. Istnieje znaczna ilość jej wersji, a materiał zawarty w tym zbiorze pojawia się częściowo i w innych, przy czym ilość pięciu ksiąg jest kwestią przypadku, bowiem liczba ta bywała inna w różnych okresach, a niektórzy badacze twierdzą, że w dawniejszych redakcjach dochodziła ona do jedenastu. Są to jednak już sprawy bardzo specjalne, obchodzące bliżej jedynie indyanistów. Faktem dla nas ważnym bezpośrednio jest to, że Pancatantra uważa możemy za dzieło reprezentacyjne dla indyjskiego bajkopisarstwa, że znajdujemy w niej największą ilość wątków, wspólnych całej wschodniej literaturze bajkowej i że przekłady tego zbioru odegrały bardzo poważną rolę również i w naszej zachodniej tradycji. Tytuł tłumaczenia perskiego Kalilah - Dimnah pochodzi od dwóch głównych postaci pierwszej księgi Pancatantry, od imion dwóch szakali brzmiałych Karataka i Damanaka. Zwierzęta te były ministrami na dworze króla - lwa. Tytuł ten przyjął się ogólnie i poza Persją, oczywiście w rozmaitych brzmieniach, jak np. Chelila e Dimha w wersji hebrajskiej, czy Calila et Dimna, ou fables de Bidpai w dziewiętnastowiecznym tłumaczeniu francuskim, dokonany z arabskiego przez de Sacy. Otóż znowu Bidpai - Sindbad - Sandabar - Pilippay, o którym zapomnieliśmy chwilowo, a który zaprowadził nas do Indii i do Pancatantry. Na to aby dowiedzieć się czegoś o nim, musimy zapoznać się pokrótce z ekspozycją tego zbioru, nadającą całości pewne konstrukcyjne ramy. Pomijając narazie rozbieżności szczegółów różnych redakcji, przytoczę samą fabularną osnowę. Pewien król ma trzech synów, którzy są największym jego strapieniem i troską, bowiem ich łepota, lekkomyślność i lenistwo wróżą państwu jak najgorszą przyszłość. Król proponuje wielu uzonym brahmanom zajęcie się wychowaniem swych następców, ale żaden nie śmie podjąć się tej odpowiedzialności. Wreszcie jeden z nich, mimo protestów kolegów, którzy obawiają się upadku prestiżu całej kasty, zgadza się i obiecuje królowi, że w przeciągu sześciu miesięcy zmieni u sposobienie i zainteresowania królewiczów. Jego metodą wychowawczą jest opowiadanie bajek, ilustrujących rozmaite zagadnienia z zakresu sztuki władania, a więc zawieranie przymierzy, prowadzenie wojen, knucie podstępów przeciw silniejszemu przeciwnikowi itd. Nazwa królestwa, imiona króla, jego synów oraz brahmańskiego mędrca bywają różne. Raz władca nazywa się Amaraśakti i rządzi państwem Mahilaropya, brahman zaś zowie się Visnuśarmana, w innej wersji rzecz dzieje się w Pataliputrze, co Arabowie trawstują na Manakpur, imię króla zaś brzmi Sudarśana lub Devaśarmana, z czego tłumacz arabski zrobił Dabdzelim lub Daisalem. W wersji bengalskiej filozof nazywa się Vidyapati lub Vedapati i tu najprawdopodobniej spotykamy się z fonetycznym prototypem perskiego Bidpai. Tak więc wytropiliśmy wreszcie „polityka azyatyckiego Pilippaya” i możemy zająć się z kolei jego bajkami — bajkami Pancatantry.

Orientowanie się według tego właśnie zbioru nie będzie żadnym zubo-

żeniem tematu, bowiem Pancatantra służyć tu może za rodzaj soczewki, skupiającej w sobie promienie najważniejszych wątków, snujących się od zamierzchłej przeszłości i splatających się w linie nowych tradycji. Tak więc niektóre fragmenty tekstów znajdujemy już w dziele gramatyka Paniniego z piątego wieku przed Chrystusem, gdzie figurują one w charakterze przykładów fleksyjnych czy składniowych. Rzecz prosta, nie świadczy to bynajmniej aby Pancatantra jako taka istniała już wtedy, niemniej jednak dowodzi, że pewne, objęte nią bajki istniały wówczas i były nie tyle popularne, iż można było posługiwać się nimi dla ułatwienia nauki. Innym dokumentem wieku zachowanego materiału jest uderzające podobieństwo całego szeregu bajek tego zbioru, do bajek ezopowych. Tu znowu wypada otworzyć obszerny nawias, kwestia bowiem tych zbliżności intrygowala i intryguje nadal zarówno indyanistów jak i filologów klasycznych. Państwa baktryjskie, rządzone przez dynastie pochodzące od wielkorządców Aleksandra Wielkiego, były przez pewien czas pomostem między Indiami a Grecją. Świadczą o tym monety z napisami greckimi, bite jeszcze i wówczas, gdy do władzy w Baktrii dochodzili biali Hunnowie i Turańczycy. Okres najżywszych kontaktów przypadał prawdopodobnie na drugi wiek przed Chr. Jednakże ślady wzajemnych, kulturalnych wpływów są niejasne i nigdy nie wiadomo gdzie mamy do czynienia z zapożyczeniem, a gdzie z przypadkowym podobieństwem.

Kierując się jedynie względami chronologii, trzeba by stwierdzić, że wątki ezopowe musiały przeniknąć do bajkopisarstwa indyjskiego właśnie w okresie owych baktryjskich kontaktów. Sprawa jednak nie jest taka prosta po żadnej stronie. Przede wszystkim nie wiadomo co w ezopowej tradycji przypisać można samemu Ezopowi. Po drugie gros bajek Pancatantry i innych zbiorów posiada swe starsze prototypy w literaturze buddyjskiej, która z kolei czerpała z jeszcze odleglejszych źródeł ludowych. Wreszcie, jeżeli o intrygach indyjskich szakali czy greckich lisów przeciw przyjaźni byka i lwa powiedzieć można, że jest to niewątpliwie ta sama fabuła przeniesiona ze wschodu na zachód lub vice versa, trudno twierdzić to samo o historii z odbiciem w wodzie lwa poszukującego przeciwnika lub psa niosącego kawał mięsa, bowiem samo zjawisko takiego odbicia jest dostatecznie frapujące, by pobudzić wyobraźnię starożytnego bazarza w jakiegokolwiek części świata.

Ostatecznie więc, bez obawy naciągania, powiedzieć można tylko tyle, że i w drugim wieku a. C. istniał już bogaty materiał bajkowy, zachowany do naszych czasów w niemal nie zmienionej formie.

Najobfitszym jednak i najstarszym źródłem bajek są zbiory buddyjskie. Jest to zjawisko napozór paradoksalne ponieważ pewne teksty kanonu buddyjskiego wypowiadają się bardzo ostro przeciw słuchaniu i opowiadaniu bajek i anegdot na równi ze słuchaniem muzyki, przypatrywaniem się widowiskom teatralnym i braniem udziału w tańcach. Wszystko to, według wspomnianych tekstów jest „niskie i błahe” oraz stanowi przekroczenie reguły mnicha czy mniszki. Wiemy wszakże, że zakony stanowiły jedynie doktrynalny i filozoficzny

kościół buddyźmu, który poza tym był religią ludu, religią prozelityczną, zdobywającą wyznawców daleko poza granicami Indii i przekreślającą sztywne podziały kastowe. Z tego względu potrzebował on dostępnej przypowieści, a przypowieścią najdostępniejszą jest bajka. Stąd też ogromny materiał bajkowy przedostał się już bardzo wcześnie do kanonu, przeszedłszy oczywiście przez odpowiednie korektury.

Bajka buddyjska posiada pewne charakterystyczne cechy, które, w sposób nieraz zupełnie mechaniczny, odróżniają się od bajek innych. Jest to zazwyczaj opowiadanie o poprzednich wcieleniach Buddy w świecie niebian, ludzi, zwierząt, a nawet roślin i stąd jej nazwa Jataka, czyli „żywot”. Jataki służą specyficznej dydaktyce, ale udaje im się to bardzo rozmaicie, o czym zresztą będziemy jeszcze mieli możliwość się przekonać. W każdym razie piętno ortodoksji na tych utworach bywa często zupełnie powierzchowne, a postać bodhisattvy — przyszłego Buddy — przyszyta do tekstu byle jak i grubymi niemi. Tak czy owak bajka indyjska w formie jataki zrobiła ogromną karierę. Propaganda buddyjska rozprzestrzeniła się szeroko po całej Azji bądź za pośrednictwem apostołów, bądź też całych plemion, które wtargnąwszy do Indii przyjmowały tę religię nie obwarowaną żadnymi rasowymi ani kastowymi uprzedzeniami. Rzecz prosta, że jataki asymilowane były najprędzej i najłatwiej. Obszernego ich przekładu na język chiński dokonał w VII w. naszej ery pielgrzym Hiuen Tsang, ale przenikały one do Chin także i wcześniej, jak również i do zbudzowanego Tybetu. Stamtąd rozprzestrzeniły się po Mongolii, a w średniowieczu, w czasie najazdów mongolskich na Europę, zawędrowały na zachód wraz z hordami najęźdźców, przeważnie w wersji mówionej.

Druga droga, o której wspomniałem już śledząc losy Pilippaya, wiodła przez Persję, Arabię, Afrykę, Bizancjum, Włochy i Hiszpanię. Tutaj propagatorem był Islam. Szereg arabskich i hebrajskich tłumaczeń z Pancatantry oraz zbiorów jej pokrewnych jak Hitopadesa, Kathasaritsagara, Sukasaptati itd. przekładano dalej na grekę i łacinę. Pierwsze tłumaczenie greckie, dokonane przez Symeona Seta, pochodzi z 1080 roku; pierwsze przekłady łacińskie (Johannes da Capra i Baldo) datują się z XIII wieku. Z Hiszpanii bajki indyjskie przedostały się do Francji i tam weszły w skład średniowiecznych Fables, z których obficie czerpał de la Fontaine, na równi z materiałem ezopowym. Rozróżnienie źródła większości wątków było już w tych czasach prawie niemożliwe, ponieważ tłumacze podchodzili do oryginałów z zupełną dezynwolturą. Charakterystyczne jest, że Baldo, który dokonał łacińskiego przekładu Kalilah - Dimnah z arabszczyzny, przekazał potomności swe imię z przydomkiem „Alter Aesopus”.

Oto wreszcie zamknięte koło tradycji, koło wędrowek najpopularniejszych bajek, które do dziś dnia nie utraciły swej świeżości i zdolności przechodzenia dalszych metamorfoz.

SUROWIEC

Próba wyprowadzenia genezy bajek indyjskich, czy jakiegokolwiek innych, byłaby równie beznadziejna

jak próba podania genezy literatury w ogóle. Można co najwyżej pokusić się o wyszukanie pewnych elementów, które od najdawniejszych czasów zajmują w bajce uprzywilejowane i charakterystyczne miejsce..

Bajka rdzennie zachodnia wyróżnia się przede wszystkim cechą cudowności, co zaznaczyło się dobitnie w jej angielskiej nazwie „fairy tale”. Wskazywałoby to może na jej mityczne pochodzenie. „Jak w bajce” znaczy dla nas: inaczej niż w rzeczywistości, dziwnie, czarodziejstwo i fantastycznie. Ta cecha zadecydowała też o tym, że bajka stała się w pierwszym rzędzie domeną dzieci. Najprawdopodobniej jednak jest to już najpóźniejszy etap jej dziejów. W początkach swych bajka była literaturą ludzi dorosłych, ujmującą w lapidarnej, anegdotycznej formie ich doświadczenia i ich wiedzę o świecie.

W Indiach ten archaiczny typ bajki nie stracił jeszcze swojej aktualności. Opracowań dla dzieci znajdujemy tu bardzo niewiele, a z klasycznych zbiorów jedna tylko Hitopadesa — jest celową przeróbką Pancatantry na użytek najmłodszych.

Rzeczą dosyć osobliwą jest poza tym stosunkowe ubóstwo owego czarodziejskiego elementu, który wydaje się sprawą tak zasadniczą w świecie bajecznym. Należy przy tej okazji wyjaśnić, że mówiące i rozumiejące po ludzku zwierzęta, to na gruncie Indii nie żadne bajkowe czary. Zjawisko to ma swe prawo obywatelstwa w poezji, w eposie heroicznym, w literaturze religijnej i filozoficznej. To samo dotyczy najrozmaitszych demonów, rakszasów i yakszasów, oraz bóstw hinduskiego panteonu, pojawiających się w bajce na tych samych prawach, na jakich egzystują w całej pozostałej literaturze.

Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że w Indiach bajka wyróżnia się spośród innych form twórczości swego rodzaju racjonalizmem i poziomym, zdrowym rozsądkiem. Tam gdzie mit nie przeżył się jeszcze i gdzie nadal spełnia swoją moralno - poznawczą funkcję, bajka fantastyczna nie ma odrębnej racji bytu i pozostaje tym, czym była na początku: pouczającą anegdotą.

Zatem, szukając źródeł bajki indyjskiej nie należy sugerować się istnieniem jakiegś rzekomej przepaści między nią, a „twórczością poważną”. Przeciwnie: sięgnąć trzeba i do eposu i do ksiąg świętych i do podręczników polityki, a głównie i przede wszystkim do popularnych wierzeń ludowych.

Znany indyanista niemiecki z ubiegłego stulecia, Benfey, we wstępie do swego opracowania Pancatantry wyraża przypuszczenie, że bajki o zwierzętach pochodzą najprawdopodobniej z Grecji. Zwierzęta w bajkach ezopowych zachowują jego zdaniem swój zwierzęcy charakter, podczas gdy zwierzęce postacie bajek indyjskich są tak dalece zantropomorfizowane, że pozostają ptakami, czworonogami czy gadami jedynie z imienia. Spieranie się z tą opinią, względnie przyznawanie jej racji wy daje mi się rzeczą bez znaczenia. Przypisywanie chytrkości lisowi, głupoty osła a trwożliwości zającowi jest już wyraźną formą antropomorfizacji. Sposób interpretowania przez ludzi cech zwierzęcych jest na ogół podobny pod każdą szerokością geograficzną, a głębokie zainteresowanie zwierzęciem charakteryzuje nieod-

WIECZNIE MŁODA

indyjskiej)

miennie wszelką prymitywną mentalność. Najstarszy zabytek indyjskiego piśmiennictwa jakim jest Rgveda zawiera już dowody podobnego ustosunkowania się do natury. Najbardziej typowym jest tu hymn, w którym porównano żaby do conclave obradujących brahmanów. Znaczenie dalej posunięte upodobnienia znajdujemy w wielkich eposach, w Mahabharacie i Ramayanie, szczególnie w tym drugim gdzie mały odgrywa dominującą rolę. Co jednak daje zwierzęcą w bajce indyjskiej całkiem specjalne stanowisko, to wiara w transmigrację, wprowadzona w świat pojęć Hindusa przez doktryny dżainizmu i buddyzmu. Ona to właśnie zaciera granice między poszczególnymi formami bytu i sprawia, że nie ma w tym nic dziwnego aby bodhisattwa występował pod postacią zająca, lwa czy rośliny, lub by kot oddawał się ascezie, pokutując za grzechy poprzednich żywotów.

Z drugiej strony niektóre postacie zwierzęce posiadają w Indiach specyficzne, zupełnie nie spotykane gdzieindziej cechy. Do takich należy w pierwszym rzędzie tygrys. Obok lwa występuje on najczęściej w roli króla, ale podczas gdy lew jest stereotypowym brutalnym — matolem, którego byle szakal potrafi sobie owinąć wokoło pazura, tygrys odznacza się właściwościami zrozumiałymi jedynie na gruncie lokalnej tradycji. Trzeba wiedzieć, że ceremonia koronacji opisany w starych, rytualnych tekstach, zwanych Brahmanami, wymaga aby namaszczenie radży odbywało się na skórze tygrysię. Ma to oczywiście swoje magiczne uzasadnienie, ponieważ odwaga i siła tygrysa są najbardziej przez władce pożadanymi cechami. Tygrys i radża stanowią parę, udzielającą sobie nawzajem swych najbardziej typowych właściwości. Stąd też tygrys w bajce indyjskiej odznacza się okrucieństwem, dumą, rycerską brawurą i hojnością. Rozdaje ascetom klejnoty i złoto zrawowane swym ludzkim przeciwnikom i zawsze posiada wielkie ilości tych skarbców, stanowiących jego wojenną zdobycz.

Bardzo duży procent bajek wszakże traktuje wyjątkowo o ludziach i w tych uwidacznia się może najwyraźniej ludowy charakter tych utworów. Ostrze satyry lub kpiarskiego humoru kieruje się tu najczęściej przeciw przedstawicielom najwyższej kasty — brahmanom, przedstawionym jako skąpcy, głupcy, zazdrośnicy, rozpustnicy i oszuści. Ulubionymi postaciami, jak w każdej gminnej gadce, są złodzieje, kurtyzany, kupcy, stare, złośliwe kobiety, ludzie mało nobliwych profesji ale za to zapewniający targowiska i spotykani najczęściej na udeptanych ścieżkach codzienności. Ich przygody dostarczają najpoczytniejszych pouczeń na każdą okazję, z ich sukcesów i niepowodzeń najłatwiej prostemu człowiekowi wydobyć sok praktycznej, życiowej mądrości. Zresztą, czy bohaterem bajki będzie złodziej, król, czy krokodyl, morał jej bywa zwykle w tym samym gatunku, a często wyraża się identycznymi maksymami. Maksymy owe stanowią wspólny kapitał całej literatury indyjskiej, rozsiane są po dziełach religijnych i filozoficznych, po eposach i poematach, po sztukach dramatycznych i podręcznikach rządzenia. Warto przy okazji nadmienić, że dość znaczna ich ilość przeszła do bajek z dzieła mitycznego Kautili, będącego czymś w rodzaju indyjskiego Machiavela. Mo-

że zresztą ów autor pierwszego politycznego compendium czerpał swe przysłowia i złote myśli z bajkowego skarbca ludowej mądrości.

DYDAKTYKA.

Gdyby przez bujny i spleciony gąszcz literatury indyjskiej dało się wytyczyć jakieś arbitralne granice, można by w zakresie bajek wprowadzić podział na utwory o dydaktyce buddyjskiej i o dydaktyce brahmanistycznej. Byłby to wszakże podział bardzo sztuczny i zwoodniczy bowiem z jednej strony bajki stanowią w ogromnej większości wypadków kapitał wspólny, a ich interpretacja jest kwestią późniejszych retuszy, z drugiej zaś moralności poszczególnych religii na pewnym szczeblu rozwoju zbliżają się ogromnie do siebie, toteż różne doktrynalne tradycje asymilują wzajemnie bez trudu swoje ideały.

Znacznie wygodniej będzie trzymać się klasyfikacji starszej od wszelkich skryształizowanych etycznych — filozoficznych systemów i przyjętej w Indiach przez wszystkie religie. Według Brahmanów, tekstów rytualnych, stanowiących chronologicznie następny wielki cykl piśmiennictwa po Vedach, czyny ludzkie podpadają, zależnie od swej intencji, pod trzy moralne kategorie: **dharma**, **artha** i **nihi**. **Dharma** jest synonimem sprawiedliwości i enoty, **artha** umiejętność, **nihi** doradczą korzyść i zdolność narzucenia innym swej woli.

Na ogół gros bajek, niezależnie od tego do jakiego kręgu ortodoksji możnaby je zaliczyć, służy ideałowi typu **nihi**. Jest to cechą ludowego charakteru tej literatury. O bajkach buddyjskich można tu powiedzieć tylko tyle, że częściej i świadomiej niż inne starają się wprowadzać do swej dydaktyki element **dharma**. Owa **dharma** buddyjska zabarwiona jest ponadto specyficzną cechą **maitri**, cnotą miłosierdzia posuniętą do zupełnego samozaparcia. Typowym przykładem jest tu **Jataka** o zajączku. Bóg Indra dowiedziawszy się o wielkiej światobliwości zajączka, który jest oczywiście wcielaniem bodhisattwy, postanawia wystawić go na próbę. Zjawia się w lesie w postaci wędrownego ascety i zatrzymawszy się przed legowiskiem zajączka prosi go o posiłek. Ten, sam nie mając co jeść, rzuca się w ogień by ofiarować gościowi pieczeń z własnego mięsa. Ten motyw ofiary z samego siebie powtarza się często w najrozmaitszych wariantach, jak np. w opowieści o księciu **Vessantarze**, który ślubował nie odmawiać niczyjej prośbie i w konsekwencji rozdaje wszystko co posiada aż do żony i dzieci włącznie. Spotykamy go zresztą nie tylko w zbiorach buddyjskich. Drawidyjska wersja **Pancatantry** zawiera bajkę o królu **Citra — Cakra — Vartinie**, gołąbku i bogu Indrze, wcielonym w sokoła. Otóż ścigany przez tego ostatniego gołąb schronił się w pałacu miłosierdnego króla. Gdy sokół zażądał od **Citra — Cakra — Vartinie** wydania mu swej niedoszłej zdobyczy, król by uratować gołębia kazał wykroić sobie kawałek własnego ciała, odpowiadający wagą wadze tego ptaka i ofiarował go dra-
pieżnikowi jako wykup.

Ta ostatnia bajka jest niewątpliwie z pochodzenia buddyjska i przykładem tylko zawędrowała do brahmanistycznego zbioru. Ciekawsz

może będzie porównanie jednego i tego samego wątku w dwóch odmiennej redakcjach. Dostyc znamienym przykładem jest historia o żółwiu i kaczkach, znajdująca się zresztą również w zbioru Jabłonnowskiego, o którym wspominałem na początku. Jej treść brzmi w skróceniu następująco: Pewien żółw zaprzyjaźnił się z dwoma kaczkami, zamieszkującymi nad rzeczną zarośla. Gdy te postanowiły zmienić miejsce swego pobytu, żółw popadł w rozpacz, że nie może towarzyszyć przyjaciółkom. Pomysłowe ptaki wpadły jednak na świetny koncept. Chwyliły w dzioby trzcinkę i kazały żółwiowi trzymać się pyszczkiem jej środka, napominając go zarazem by nie odrywał się pod żadnym pozorem. W ten sposób żółw uniosł się w powietrze i razem z kaczkami wędrował ku ich nowej siedzibie. Wkrótce cała trójka znalazła się nad pewną wsią (w wersji buddyjskiej pałacem) budząc zrozumiąłą sensację wśród ludzi. Ulicznicy zaczęli biec za niecodziennym zjawiskiem, śmiejąc się, rzucając kamieniami i dogadując żółwiowi. „Co was to obchodzi łobuz, że sobie lecę” chciał odciąć się żółw — otworzył pyszczek i spadł. Buddyjski morał bajki brzmi: „oto zgubne skutki gadulstwa”. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w pobliżu znajduje się gadulawy król, któremu mądry minister (oczywiście bodhisattwa), cyhając tylko na taką okazję, interpretuje odpowiednio to zdarzenie.

Pancatantra rozbudowuje ten wątek i wyciąga z niego charakterystycznie odmienne wnioski. Zamiast kaczek występują tu orły, a żółw, spadłszy na ziemię nie zabija się wcale, lecz pada ofiarą lisa. Ten jednak, nie mogąc przegryźć twardej skorupy, pyta swą zdobycz co należy zrobić by pancerz zmieknął. Żółw odpowiada, że jedynym sposobem jest zanurzenie go w wodzie. Lis nie się więc żółwia do rzeki i przytrzymując go łapą, pyta co chwila dla czego jeszcze jest twardy. „Wcale nie jestem twardy” odpowiada żółw, „tylko miejsce na którym trzymasz łapę nie mogło się zamoczyć”. Wówczas lis podnosi łapę a żółw ucieka. „Trzeba zawsze szukać przyjaźni z silniejszymi” — konkluduje **Pancatantra**, a wobec mocniejszego przeciwnika postuluje się podstępem. Oto typowy morał kategorii **nihi**.

Zresztą, jak już wspominałem, ten typ dydaktyki przeważa nawet w utworach buddyjskich. Nie brak bajek, w których bodhisattwa jest np. złodziejem, a jego nadludzka doskonałość wyraża się tym, iż jest on złodziejem znacznie sprytniejszym i zręczniejszym w swoim fachu niż inni. Często także bywa kupcem, oszukującym dzięki wyjątkowej roztropności wszystkich swoich klientów i kolegów.

Najlepsze pojęcie o dydaktyce bajek indyjskich dają wierszowane maksymy, tak zwane **sloki**, rozsiane gęsto w każdym tekście. Posłuchajmy kilku z nich:

„Ptaki nie spoczywają na drzewach bez owoców.

Czworonogi opuszczają las bez lasi i cienia.

Owady omijają rośliny bez kwiatów.

Pijawki uciekają ze schnących źródeł.

Minister porzuca upartego króla, kobiety zaś mężów starych i ubogich”.

„Nigdy nie trzeba narażać się na nienawiść kucharza, lekarza i poety”.

„Trzeba strzec się sporu z władcą, bogaczem, silniejszym od nas i z człowiekiem upartym”.

„Trzeba unikać przyjaźni z nieczestnymi i nauczyciela, który kieruje się upiniami innych”.

„Kto odkrywa swe myśli innemu, nie poznawszy jego własnych, zmierza ku swej zgubie”.

„Gatunek złota poznaje się po kamieniu probierczym, charakter człowieka po jego mowie, siłę woli po ładunku jaki dźwiga

— nie ma jednak sposobu na poznanie natury kobiety”.

Aby nie być jednostronnym, należy zacytować również i przykład mniej **poziomego lotu**:

„Wielkie rzeki, wielkie drzewa, rośliny lecznicze i ludzie szlachetni nie istnieją sami dla siebie, ale ku pożytkowi innych”.

Słoki jednak o takim wydźwięku zdarzają się, że w porównaniu z rodzajem cytowanym uprzednio, niezwykle rzadko.

HUMOR.

Tym co najpewniej decyduje o powodzeniu i uniwersalności bajek jest ich prosty, każdemu dostępny humor. On także jest najskuteczniejszym środkiem dydaktycznym, choć często sam w sobie bywa celem. Typ tego humoru znamy dobrze i to zapewne nie tylko dlatego, że sama bajka indyjska nie jest nam obca, ale dlatego także, że elementarny zmysł humoru jest dosyć jednolity na całym świecie. Zarozumiąły kruk la Fontaine'a, wypuszczający ser z dzio-
ba, by popisać się głosem, mało co różni się od gadatliwego żółwia, wypuszczającego z pyska zbawczą trzcinkę. Z przywar, sprowadzających o-
plakane skutki śmiano się zawsze i wszędzie.

Również komiczne wydaje się ludziom zestawienie przeciwieństw. A więc żółw i zając Ezopa, stające do wyścigu, czy indyjski słoń i ptaszek Titti, podejmujące walkę, względnie mędrzec i głupiec — para znana wszystkim literaturom.

W jednej z bajek buddyjskich glista, mieszkając na kupie nawozu, widząc jak słoń omija z obrzydzeniem jej siedzibę, dochodzi do wniosku, że napędziła strachu olbrzymowi i zaczyna żyć go od tchórzów. Tymczasem słoń spostrzeżę, że jest to właśnie idealne miejsce dla ulżenia naturalnej potrzeby, załatwia się na gnój i w ten sposób zabija zuchwałą glistę. Tego rodzaju bajek jest bardzo wiele.

Jeszcze innym, niezawodnym sposobem wywołania uśmiechu jest paradoksalne rozwiązanie sytuacji, w której wszystkie szanse wydają się być po jednej stronie. Wchodzi tu zazwyczaj w grę podstęp, mistyfikacja lub oszustwo.

Stary, zbłąkany w lesie kozioł chroni się przed deszczem do jaskini, zamieszkaanej przypadkowo przez lwa. Król zwierząt, zbudzony przez intruza przygląda się w osłupieniu jego straszliwym rogom i długiej brodzie. „Kim jesteś?” — pyta groźnie. Nieszczęsny kozioł mimo przerażenia nie traci przytomności umysłu. „Jestem ascetą boga Śivy” odpowiada z powagą. „Ślubowałem mojemu panu pożreć sto jeden tygrysów, dwadzieścia pięć słoń i dziesięć lwów. Z tygrysami i słoniami już się uporałem, teraz poluję na lwy”. Na te słowa lew rzuca się do panicznej ucieczki, zostawiając kozła panem jaskini. Jednakże zbieg spotyka po drodze szakala, który pyta go o powód tego przestrachu. Lew opowiada mu okropne zdarzenie, odmalowując ze zrodzoną z przerażenia przesadą postać straszliwego napastnika. Szakal poznaje o kogo

chodzi i wybucha śmiechem. „To tylko kozioł!” mówi. „Chodźmy do jaskini. Zjesz go królu i dasz mi ja ki ochłap za dobrą radę”. Zawracają obaj i oto biedny kozioł znowu znajduje się w opałach. I tym razem jednak nie traci rezonu. Spostrzegłszy zbliżających się napastników, już z daleka woła do szakala: „A ty hultaju! Tak wypełniasz moje rozkazy? Kazałem ci przyprzeprzeć dziesięć lwów, a ty ośmielasz się przychodzić z jednym tyko!” Lew zmyka ponownie, a sprytny kozioł, przeczekawszy już spokojnie deszcz, rusza w swoją drogę.

Gloryfikacja sprytu jest najpopularniejszym, bajkowym motywem, to też płynący stąd humor uznaje można za najbardziej typowy.

Przeciwym biegunem jest tu głupota. Wynikające z niej omyłki, złudzenia i logiczne błędy rozumowania stanowią niewyczerpane źródło dowcipów i komicznych sytuacji. Rzecz znaną — o czym zresztą wspominałem już poprzednio — że głupcem bajki w indyjskiej jest zazwyczaj brahman lub uczeń brahman-ski. Poza zrozumiałą niechęcią ludu dla przedstawicieli kast najwyższych ma to jeszcze jedno uzasadnienie w paradoksie, bowiem kasta brahman-ska w Indiach tradycyjnie reprezentuje intelekt i wiedzę. Bajka, koloryzując do woli, lekceważąc prawa przyrody i upraszczając do najłatwiejszych schematów psychikę swych postaci, w tym wszakże nieodmiennie wierna jest realizmowi, że zdrowym śmiechem niweluje wszelką przesadę konwencjonalnych pojęć, a żaden autorytet nie ostoi się sceptycyzmowi jej „chłopskiego rozsądku”.

Guru Paramartha, naiwny mistrz szkoły głupeków, może służyć w tym względzie za klasyczny przykład. Nauczyciel i uczniowie brną z jednego pociesznego dureństwa w drugie. Nie mogą się doliczyć, bowiem liczący zapomina o sobie i dochodzą do wniosku, że jeden z nich zginął w rzece, którą przechodzili przed chwilą, chociaż woda sięgała im zaledwie kolan. Pragnąc dobrać się żrebaką wysiadują arbuzy, który wzięli za jajo kłaczy. Każdy ich zamysł i przedsięwzięcie obraca się w jakiś komiczny nonsens. Oczywiście przy każdej okazji padają ofiarą spryciarzy i oszustów.

Dalszym ulubionym motywem humorystycznym jest oszust oszukany. Cytowanie przykładów byłoby tu zbytecznym trudem — znajdujemy ich mnóstwo w bajkach, które przeszły i do naszej tradycji, jak chociażby w historii o czapli, rybach i raku Krasickiego. Bajka ta, w różnych wersjach znana jest na całym świecie, a w Indiach wchodzi w skład wielu rozmaitych zbiorów. Dostyc charakterystycznym chwytem jest rozwijanie akcji od błahych przyczyn ku doniosłym skutkom. Myśliwy przynosi królowi plaster miodu. Jedna kropla słodczy spada na podłogę. Na kropki siada mucha. Na muchę rzuca się ulubiony lemur królewski. Lemura atakuje pies myśliwego. Król zaczyna okładać psa berłem. Myśliwy staje w obronie swego legacza i za zuchwalstwo to zostaje wtrącony do więzienia. Wszyscy myśliwi w państwie ujmują się za kolegą, a cały lud przyłącza się solidarnie do ich buntu, w rezultacie czego król zostaje zdeponizowany. Jest w tym oczywiście ten element paradoksu: kropla miodu i mucha powodują rewolucję, ale jest także duża doza wnikliwej obserwacji, owej „bajkowej mądrości”, będącej istotnym składnikiem ludowej anegdoty.

Wreszcie, aby nie pominąć żadnego z podstawowych typów, należy wymienić również i bajkę rubaszną (dokończenie na str. 12-tej)

Jan Dobraczyński

STRZAŁY ZA HORYZONTEM ⁸⁾

Jest więc widać jakiś sens w tej walce — powiedział do siebie. Położył się na trawie, sięgnął do kieszeni kurtki. Róża, gdy odchodzili, włożyła jemu i Krzysowi jakieś jedzenie. Rozwijając chleb z papieru pomyślał o żonie. Broniła się do ostatniej chwili. „Idź — mówiła, — przecież ja cię nie zatrzymuję... W imię czego mogłabym cię zatrzymać? W imię mojej nieumiejętności zaryzykowania wszystkiego?“ Pochylił się nad nią i pocałował ją. Wargi kobiety były chłodne. Jej dłoń zsunęła się pośpiesznie z jego ramienia. „Ty, powiedziała, otwierając drzwi na różową noc, — ryzykujesz i mnie... Ja nic nie ryzykuję. Nie mogę wybierać. Sama jestem wybrana...“

Przełknął chleb razem z westchnieniem. Biedna Róża! — pomyślał. Lecz czym by jej pomóc? Czym? W jaki sposób? Wspierał się na łokciu, wyciągnął się na trawie. Ludzie siedzący obok niego na brzegu skarpy, rozmawiali półgłosem. Czasami zaszeleścił zgnieciony papier, czasami szczerknęła broń. Jak mogę im wszystkim pomóc? — rozważał. Czuł się bardziej bezsilny niż łodzie, które walczyły z prądem na środku wielkiej, omglonej czerwienią rzeki.

Zwolna ogarnęła go senność. Podłożywszy ręce pod głowę, zapadł w półsen. Wyrwało go zeń nagie poruszenie się otoczenia. Ludzie poderwali się z miejsc i zaraz zastygli w bezruchu. Zapytał szeptem:

— Przyplnęli?

Ale odpowiedziało mu tylko ostre psyknięcie. Podniósł głowę. Woda w dole popluskiwała spokojnie, od strony Warszawy zanosily się kaemy seriami stuków, niby uderzeniami kościanych pałeczek o deskę. Potem w otaczającej ich ciszy wystrzelił głos męski, wysoki, roztargany. Franciszek nie rozumiał co tamten mówi, za to doszedł go ostry krzyk czujki:

— Stój! Kto idzie? Stój, bo strzelam!

Teraz odpowiedział głos pierwszy dziwnie przypominający skowytanie zbitego psa:

— Nie strzelaj! Cholera... Swój... Cholera... — Ta „cholera“ pojawiała się po wiele razy między każdym słowem. Kilku ludzi pośpieszyło do czujki. Franciszek powstał. Rozległy się kroki idących. Żołnierze wrócili, prowadząc kogoś między sobą.

W blasku płonącego miasta, ślizgającym się po kępach wikliny, zobaczył mężczyznę, a właściwie chłopaka, o szerokiej, nieco gapiowatej twarzy. Tamten był bez czapki. Gęste, jasne włosy zbily mu się w kłęb nad czołem. Musiał być raniony w głowę, bo spod włosów schodziły mu na policzek dwie zaschłe smugi krwi. Wyglądał na zgonionego; czoło miał pokryte potem, na koszuli ciemne plamy. Oddychał ciężko i spiesznie.

— Kto wy jesteście? Partyzanci?

— A kto pan jest? — zapytał Franciszek.

— Pewno idziecie także na Warszawę? — rzucił pytaniem, jakby nie słyszał, że to jego pyta. — Cholera... Nie macie co iść... Cholera... Wytłuką was jak naszych... —

Thum żołnierzy otoczył kołem przybyłego.

— Z jakiego oddziału jesteście? — dopytywał się Franciszek.

— Ja tu z Dziekanowa... A byłem, cholera, u Czarnego Janka... w Kampinosie... No i kazali nam iść na Warszawę... Cholera... Poszliśmy... Do Zioliborza to łatwo, cholera... Ale jak przyszło na te Starówki, przez tory, to Rany Boskie... Takiego nam dali ognia... Cholera... Kazali przebiec... Gadając! Te chojraki z Warszawy, to tylko gadają idźcie, co boita się? Poszedł pluton... Cholera... Dziesiątka kroków nie przelecieli, a już połowy nie było... Reszta nawet wrócić nie mogła. Oświeiliły rakietami i w nich. Ogień krzyżowy: i z tej cytadeli i z dworca... Cholera... Powiadają: pies by nie przeleciał... Dwóch się cofnęło. Jeden od razu zgłupiał. Zaczął wrzeszczeć. A oni, te warszawiaki, gadają: teraz drugi pluton... To ja byłem w drugim. Janek powiedział, że pójdzie z nami.

Wyskoczyliśmy... Cholera... Od razu pocięgnęli... Kule to ci tak wyją i piszą. Jeden chłop leży, drugi leży... Cholera... Schowaliśmy się przy jakimś murze od ogrodu... Ani się ruszyć... W głowę dostałem odłamkiem, o... Cholera... Dobrze że nie kulą... Jak przestali, cofnęliśmy się... Na ten Zioliborz... A te Warszawiaki to nas zaraz otoczyły... Śmieją się. Co? — gadają — Zestrachaliście się chłopcy? Złość nas wzięła. To my — powiadamy — dla was przyszliśmy, cholera, a kiedy nas tłuką to wy się naśmiewacie...! Boście chłopcy nieskrobane. Słyszeliście taką cholere? My do nich: a wy kto? Jeden i drugi to się porwał, by tym w niemieczech koszulach w łatki po gębach nałożyć... Ale przyszedł jakiś jeich dowódca, taki mały, z laseczką... Trudno, chłopcy, powiada, nie udało się... Za ciężko... Miały samoloty angielskie rznąć po Cytadeli... Cholera, nie przyleciały... Nie udało się, wracajcie do lasu... Ale broń nam zostawcie, bo wy macie jej dużo a u nas brak... Zrobił się u nas krzyk. Co? — wołamy — to naszych kolegów tam posiekli, a my wam jeszcze mamy karabiny dać? Nie ma tak dobrze! A te warszawiaki za peemy i za granaty... Zrobiła się chryja. Oddawajcie! — mówią. A pistolety pakuja nam w brzuch jakby chciały strzelać... Takie cholery... No i co było robić? Zabrali... Wychodzimy z Warszawy, a lotniki niemiecnie pojechały po nas z maszyną. Trzeba było zaiwaniac pod kulami... Cholera... Czarny Janek dostał... W samo brzucho... Krzycał za nami: „chłopaki bierzcie mnie, albo zabijcie...“ Ale kto by tam pod kule wrócił? Pewno go wzięły... To i cały oddział w nogi... Nie zebrałim się, cholera... Mało który do lasu wrócił... Jak Janka złapały nie było komu dowodzić... Te Niemcy, to jeszcze strasnie się... Nie damy jem rady. Lepiej gdzie przypaść i siedzieć cicho... I wy, cholera, nie idźcie... Bo i was...

— Dosyć! powiedział Franciszek. — Milczcie! — huknął, słysząc, że uciekinier nie przestaje bełkotać i cholerować. — Zabierzcie go — rozkazał, — niech tam siedzi pod krzakiem. Pilnować, żeby nie uciekł. I niech nie gada.

W głuchej ciszy odprowadzono tamtego na wskazane miejsce. Franciszek niespokojnym spojrzeniem obrzucił swój oddział. Cóż za lichy nasłało im tego zdemoralizowanego chłopaka. Przez chwilę był niemal gotów przypuszczać, że ten uciekinier — to jakiś przedstawienie zainscenizowane przez Kamińskiego. Coraz mniej ufał wach mistrzowi. Choć nie patrzył w jego stronę, zdawało mu się, że widzi, jego triumfujący uśmiech. Patrzył natomiast uważnie w twarze żołnierzy. Nie — na szczęście, pozostali jakimi byli: gotowymi. Poszeptowali coś między sobą. Domyślał się, że ich zdeprymowała ta historia z odbieraniem broni. Ale to może jest nieprawda. Zresztą prawda czy nieprawda, nie należy o tym myśleć. Najgorsze, że tu stoją i czekają. Spojrzył na zegarek. Co to jest? Półtora godziny minęło od chwili gdy tu przyplnęli, a tamtych wciąż nie ma... Co to jest? Wpatrzył się w omgloną rzekę, chwilę nasłuchiwał. Nic nie widać. Żadnego dźwięku. Z irytacją strzepnął dłoń. Cóż oni tam robią, do licha? Posnęli, czy co? Lecz oni jeśli czekać tu będą jeszcze przez pół godziny, nie dotrą przed świtem do Zioliborza.

— Panie wachmistrzu — przywołał Kamińskiego.

Krzywonogi sklepikarz zbliżył się bez pośpiechu. W jego postawie nie było w tej chwili ani kupieckiej uprzejmości ani wojskowego szurgania nogami. Miał minę obrażoną. Kolysał się lekceważąco na szeroko rozstawionych nogach.

— Czy pan wie, — Franciszek usiłował nadać głosowi ton spokojny, — że minęło półtora godziny odkąd przyplnęliśmy?

Coś tam odburknął niewyraźnie.

— Nie sposób dłużej czekać. Postanowiłem, że oddział wyruszy natychmiast, nie czekając na tamtych...

— To książę — w słowo „książę“ spłynął jad nienawiści — koniecznie chce iść? Żeby z nami było, jak z tamtymi?

— Chcę iść i pójść! Nie mam zamiaru wierzyć słowom byle przybłądy!

— Dlaczego to książę nie chce chłopakowi wierzyć? — Podniósł twarz pod ściekającą blask łuny. Zasycał: — Ja ich znam. Tam tak musi być...

— Nie wiem, jak tam jest. Ale mamy rozkaz...

— A owszem. Mamy. Żeby przyjąć i tamtym otwierać drogę. Trupami. Po to jesteśmy im potrzebni. Żeby nie ich, a nas szlag trafił.

— Jesteśmy potrzebni, aby zluzować ludzi, którzy walczą...

— A niech sobie walczą! Pies z nimi tańcował!

Był bliski smagnięcia trzymaną w rękę witką przez twarz małego człowieka o wyzywająco wykrzywionych ustach. Pohamował się całym wysiłkiem woli:

— Do licha! — rzucił przez zęby. — Pan znowu swoje. Miałem nadzieję że te idiotyzmy wywietrzy panu z głowy.

— O, nie! — Kamiński nie miał zamiaru zamilknąć. — Nic mi nie wywietrzyło i nie wywietrzy. Jak mówię, to tak jest...

— Co jest?

— To właśnie. Że tamtym nie ma co pomagać. Oni rozkazywać nie będą. Dość narozkazywali się. Dość z ich łaski nazaglądałem pod ogony szkapom.

Głos wachmistrza przeszedł w jazgot. Zwrócił na siebie uwagę żołnierzy. Przerwali swoje rozmowy i nieznacznie otoczyli kręgiem Franciszka i Kamińskiego.

— Dość mi naubliżali! — młotał się dalej wachmistrz. — Jeden z drugim bubek w oficerkach, ubrany jak ta lala. A ja co? Dziad, co nie miał sobie na sprawienie butów z fasonem! Ale teraz szmądrzałem. O, teraz wiem...! — uderzył się ręką w piersi i zrobił szeroki gest w stronę koła słuchaczy. — Teraz mnie nikt nie wykiwał! Dawniej chciałem dopracować się swego. Taki byłem frajer! Dopracować się — akurat! Forse trzeba mieć, wtedy człowiek swoje go dobrze. Bez forsy — szkoda gadać. Bez forsy poniewierać będą człowiekiem jak tym bydłem. Ale kiedy mam forsy, to ja rozkazuję. Co? Może nie?

— Panie wachmistrzu, proszę się natychmiast uspokoić! — zawołał surowo. Struna była przeciągnięta. Za wszelką cenę powinien był zamknąć usta Kamińskiemu. Odruchowo wziął wachmistrza za kłapę płaszcz. Ale ten wyszarpnął mu ją wściekle z rąk.

— Niech mnie książę nie rusza! — zaniósł się. — Co jest?

— Natychmiast niech pan zamilknie.

Właśnie będą krzyczał. Co jest? Nikt mi tu rozkazywać nie będzie.

— Rozkazuję panu jako pański dowódca.

— Dowódca! — jeszcze wybuchnął. Ale już jakiś wewnętrzny opór musiał się zbudzić w oszalałym podoficerze, bo jego histeryczny krzyk przeszedł w mamrotanie.

— Dowódca... Szlak by trafił... Dowódca... — Małe oczka mrugały, prędko, jakby twarz Kamińskiego dotknięta była skurczem. — Jaki tam dowódca... — burknął pogardliwie. Potem zamilkł. Cofnął się, natrafił na stojących żołnierzy. Niewyłowianą do reszty złość wylał na nich: — Coście tak stanęli z wybaluszonymi ślepiami! Wasza sprawa? Ścierwa... Jadaczki porodziawiały i stoją... Odstąpić! — pochrapując jak zdenerwowany koń, rozcierając stojących. Podszedł do samego brzegu: mały, krzywonogi Napoleon, nad czerwoną rzeką. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie płaszcz.

Na rzece było w dalszym ciągu cicho, tylko woda w dole pozmokiwiała. Podmyte grudki ziemi obsuwały się w rzekę z cichym pluskiem. Od miasta dochodził stukot kaemów.

Franciszek zwrócił się do żołnierzy:

— Zbiórka. Idziemy,

Podnosili się żywo i ustawiali. Kamiński nie ruszył się; stał dalej obrócony twarzą do rzeki. Franciszek postanowił nie zwracać na niego uwagi.

— Wojczyk i Zajac, zaczekajcie na tamtych...

Lecz w tej samej chwili za rzeką, w miejscu, gdzie pozostawili towarzyszy zagrała jedna, druga, a potem znowu kilka serii. Równocześnie poczęły stukać pojedyncze wystrzały karabinowe.

Poprzez stojących przebiegł dreszcz. Nagie wszyscy zwrócili twarze ku tamtemu, rozmazanemu za czerwoną mgłą brzegowi. Mówili do siebie szybko, szeptem:

— Naszych piorą...

— Niemcy...

— I tam Stach został...

— I Józiek...

I Krzys — pomyślał Franciszek.

Uciekinier z rozbitego oddziału począł zawodzić histerycznie:

— Niemcy... Cholera... I tam są... wszędzie... Gdzie tu nawiewać cholera?

Dzień zgasił czerwień nieba; teraz pożar wisiał nad rzeką niby ogromny, poźółkły żagiel. Woda miała barwę ołowiu.

Wyładowali ostrożnie w szarej ćmie przedświt. Czasu upłynęło sporo zanim dobudzili jakichś rybaków i zmusili do przewiezienia ich spowrotem przez rzekę. Strzelanina trwała ciągle, tylko przetoczyła się dalej od brzegu. Huk wystrzałów łączył się z trzaskiem, przypominającym dźwięk łamanego drzewa, długim, rozłożonym na pojedyncze dźwięki, to las chwycił sobą lejące pociski.

Wyskoczyli na mokną od rosy łąkę z bronią gotową do strzału. Serca waliły mocno, niecierpliwie. Pożerała ich troska o towarzyszy. Ich imiona powtarzali nieustannie między sobą. Tylko Franciszek starał się nie wymawiać nawet w myśli imienia: Krzys...

Rozsypali się zaraz w tylarierkę. Posuwali się ostrożnie od kępy drzew do kępy. Minęli miejsce, z którego przed paru godzinami odplnęli. Łodzie były wyciągnięte na brzeg. O parę kroków od nich leżał twarzą do ziemi Majerczyk. Któryś z chłopców podbiegł do niego, przyklęknął, dotknął ciała leżącego. Ale zaraz cofnął się, jakby odepchnięty. Powiedział półgłosem w stronę Franciszka:

— Już zimny...

Mocniej zacisnął usta. Od pierwszej chwili, gdy usłyszał strzelaninę powstał w nim palący problem: iść dalej czy wracać? Wykonać rozkaz czy ratować swoich? Wybrać Ordona czy Krzysia — i tamtych? Myśli skakały w nim jak płomyczek z lufty kaemu. To znowu były dwie sprawy, których wartość bezwzględna wydawała się taka sama... Dwie formy służenia. Zacisnął wargę, zaciskał zęby do bólu. Dlaczego nie można wybierać prosto, jak prosto mówi o wyborze katechizm? Zbudziły się w nim żal i gorycz, że wybór najtrudniejszy stoi zawsze przed nim.

Zagłuszał te uczucia działaniem i komendą. Kamiński szedł krok w krok za nim z twarzą wściekłą i pobladłą. „Od razu mówiłem, że tak się skończy — burczał uprzykrzenie niby zła mucha. — ktoś musiał wysypać... Najlepiej teraz zapaść gdzieś w las...“ Nie odpowiadał. Rostał w nim desperackie postanowienie, aby raz się wreszcie pozbyć wachmistrza. Albo on, albo ja... Dłużej — powtarzał sobie, — nie zniosę tej twarzy...

Ostrożnie zbliżali się ku lasowi. Znowu pod krzakiem natknęli się na ciało zabitego: był to żołnierz z trzeciego plutonu. Leżał zaciśnięty w dłoń granat, którego nikt mu nie wyjął. Franciszek próbował zdać sobie sprawę z tego, co się stało. Niemcy musieli chyba zaskoczyć oddział nad brzegiem rzeki, ale tamtym udało się wycofać do lasu. O tym mówiły porosypowane wszędzie łuski i zgubiona czapka, którą znaleźli. Jeżeli jednak strzelanina trwała dalej, to znaczyło, że Niemcy potrafili otoczyć partyzantów.

Leżąc na porośniętym wilkłą piaszczystym wale, z którego po raz pierwszy zobaczył cały ogrom płonącej Warszawy, układał plan działania. Nie powrócił przecież po to, by pozostawić towarzyszy swemu losowi. Skoro Niemcy zrobili „kocioł”, trzeba go przerwać i umożliwić wymknięcie się tamtych. Wyciągnął mapę i w burym, przesianym przez dym półświatle, starał się określić miejsce toczącej się walki. Gdyby plutonowi Wojtuli udało się być przeskoczony przez szosę i gajówkę Bagno, byłoby się wymknęli z rąk Niemców. Widocznie jednak na szosie są Niemcy i trzymają lizierę lasu pod obstrzałem. Chwilę nasłuchiwał. Tak — w luki między jazgotem kaemów tu, blisko, wdierał się huk wystrzałów rozlegających się gdzieś dalek. Wobec tego rozważania mogło być tylko jedno: szybko obejść las i uderzyć na Niemców blokujących szosę.

W kilku słowach streścił swój zamiar leżącym na wale ludziom. Spłynęli z wału w lewo. Prędkim, przechodzącym w bieg, marszem obchodzili las. Musieli przeskoczyć między domkami Rajszewa, obszczeni przez psy, które podniosły dziłki rwetes. Nie było czasu na ubezpieczenie się i na ostrożność. Pędzili zadyszani, złami potem, przeskakując przez płoty, wyłamując sobie drogę w chróścianych zagrodach. Ciemny, gęsto podszyty las, przyćmiony szarym obłokiem mgły niewessanej jeszcze

przez słońce, mieli ciągle z prawa. Biegli teraz wąską boczną drogą, wysadzaną drzewkami. Potem przypadli za małym wzgórkim. Szosa leżała przed nimi. Na szosie stały dwie niemieckie „budy”, przy których kręciło się kilka zielonych postaci.

Ludźe wydechaliwali pośpiesznie wścikiły bieg. Z nieba spadł pierwszy promień słońca, równie różowy jak pożar nocą. Za nim wisiała żółto-brunatna ścierka dymu. Zza niej dochodził łoskot dalekiej strzelaniny. Zaczynał się dzień walczącego miastka. Ale oni mieli przed sobą swój dzień.

— Uwaga — mówił Franciszek, — zaczynamy. Panie wachmistrzu, pan z drugim plutonem zaatakuj z lewa, prosto na auta. Wystrzelać ludzi, spalić ciężarówkę, zabrać broń. Potem przejdzie pan szosę i będzie pan ubezpieczać nasz przeskok. Ja uderzam na las z pierwszym plutonem i będę się starał przedrzeć do naszych. No, zaczynamy. Dajcie naszą maszynkę tu, na wzgórze. Najprzód wesprzecie nas ogniem, a potem zaraz dołączacie do pana wachmistrza...

Długa seria rozdarła powietrze. Poderwali się i ruszyli biegiem. Franciszek potknął się i dlatego został nieco w tyle. Mógł więc widzieć jak się rozwija natarcie drugiego plutonu. Po szosie gwałtownie biegali Niemcy chcąc się ukryć za samochodami. Drugi pluton walił prosto przez kartoflisko na auta. W obrazie, który się

utrwalił w pamięci Franciszka, pozostała postać Kamińskiego, jak pędził między swoimi w rozwiewającym się płaszczu. Z tym wszystkim, to przecież odważny chłop... — uświadomił sobie Franciszek.

Przyśpieszył kroku. Przed sobą miał plecy biegnących. Wiatr świstał koło uszu, grudki ziemi leciały mu prosto w twarz. Także wpadli na kartoflisko, więc bieg był męczący. Sapanie biegnących brzmiało jak jęk. Franciszek czuł rozdzierający ból w piersiach. Potem zobaczył jak jakiś człowiek pada w gęstą zieleń kartofli. Ale już mieli las przed sobą. Mignęli mu przed oczyma ludzie w hełmach, z pochylonymi głowami. Granat wybuchnął w krzaku, w powietrzu zawirowały grudki ziemi i kawałki gałęzi. Franciszek strzelił dwa razy z pistoletu i biegnąc, przeskoczył przez ciało w zielonym mundurze. Byli wśród drzew. Raz po raz rozrywały się granaty. Przypadł za pnem sosny, dławiając się oddechem. Las wydawał się ciemny, jakby w nim była jeszcze noc; za to pole, z którego nadbiegli raziło spoza pni oslepiającym blaskiem. Tętna były jak wściki. Niemcy gdzieś znikli.

— Naprzód zawołał na swoich, odzyskawszy głos. Potem złożył ręce w trąbkę i krzyknął ile sił: — Wojtula! Krzyś! To my! Tutaj! Tutaj!

Las odpowiadał mu hukiem, trzaskiem, tysiącem odgłosów, spotegowanych echem

i przychodzących z nie dającego się określić kierunku. Posuwając się w głąb, nawoływali swoich:

— Krzyś!
— Wojtula!
— Józiek! Józiek!

Słyszeli jakieś krzyki, nie wiedzieli jednak czy to krzyczą ludzie Wojtuli. Ale nagle mała, szara sylwetka wyskoczyła spośród gałęzi.

— Tatusiu!

— Krzyś! To ty... — ogarnął go śpieszne ramieniem, przycisnął mocno. Ale nie zatrzymał się. — Gdzie reszta? — spytał.

— Idą...

— Prędzej! Wojtula!

Już przedzierali się przez gęstą masę krzewów tarniny i niskich dębczaków. Z ich zszarzałych twarzy biła radość i zachwył. Nie pomni niebezpieczeństwa chcieli się rzucać w ramiona wybawców. Ale Franciszek powstrzymał ich.

— Potem! Potem! Panie Wojtula, są wszyscy?

— Trzech zabitych...

— To teraz do szosy!

Las huczał nad nimi, niby wielki kłosek, pełen krzyżujących się dźwięków. Słońce smagało gdzieś w górze pnie drzew. Idąc nie zdejmował dłoni z ramienia syna.

— Nie myśleliście — zapytał głosem zdyszczanym, — że was wyciągniemy? (Dokończenie nastąpi)

AUGUSTYN

Ama et fac quod vis!

Każdy charakter jest jakimś błędem!

Jeśli zapytacie, co mnie u Augustyna najbardziej razi, odpowiem: oczy. Są one jak odwrócone lusterka — szare i opacznie funkcjonujące; jakby nie miały odbijać światła, ale zwrócone były w głąb tego, który patrzy, w głąb Augustyna. Jest to tak dalece sprzeczne z istotą normalnych pospolicitych oczu, że już na samym wstępie budzi uprzedzenie.

Poza tym, nie lubię, kiedy Augustyn... ale tu przypominam sobie, że tak nie można. Jest to bowiem błąd wszystkich tych, którzy chcąc scharakteryzować tego niepospolitego człowieka, zaczynają od wyliczania jego dziwactw i błędów. Jeden zarzut nie wyczerpuje sprawy Augustyna, pociąga za sobą dalsze i w miarę narastania tego rejestru, wchodzimy niepostrzeżenie w zwykłą obmo-

nowę i rozczłowieczenie tym faktem mnożymy ujemne oceny już z samej złości, że żadna z nich nie jest celna, że ani nie obrysowują kształtu tego człowieka, ani go nie unicestwiają. Nie, nie, stanowczo nie można zaczynać od wyliczania grzechów Augustyna, gdyż mocno podejrzewam, że są to cnoty, które nas razią.

Mówi się, że Augustyn jest człowiekiem niepoważnym. W najgłębszej dyskusji miesza zagadnienie i wyciąga wnioski tak nieoczekiwane, że wzbudzają powszechny śmiech. Śmiech ten nie jest adresowany do Augustyna, jest w nim bowiem wyzwolona radość człowieka, który odnalazł nagłe nieprzeczekiwane kolor nieba, albo wesołość poety, który odkrył metaforę śmiesznie absurdalną, ale jakże prawdziwą.

W swoim rozumowaniu Augustyn jest konsekwentny. Na swój oczywiście sposób, to znaczy — bez granic. A my lubimy w pewnym miejscu powiedzieć „dość”, tu panuje miły cień, tu będzie wygodnie i praktycznie zatrzymać się. Augustyn prowokuje nasz strach przed absurdem, naszą obawę przed kresem, niepokój przepaści, która dla nas rozciąga się już parę kroków za strzyżonym ogródkiem naszych pojęć i wartości. Mówiąc o konsekwencji na swój sposób mam także na myśli to, że nie jest ona obiektywna, zewnętrzna, logiczna, ale właśnie wewnętrzna: konsekwencja ze światem własnych sprzeczności, jak przystało na człowieka, który walczy z samym sobą, a to w wypadku Augustyna znaczy z niebyle kim.

Nie jest to oczywiście próba wyjaśnienia, ale pewne światło rzuci może fakt, że Augustyn przeżył samodzielnie, to znaczy bez udziału przodków, długą drogę od pierwotności do szczytów cywilizacji. Ślady tej pielgrzymki odnajdziemy w jego umyśle, gdzie sąsiaduje natura totemiczna zabobonność, z mocno zarysowanym systemem pełnym subtelnych dystrykcji i wysoko zawieszono-

nych abstrakcji. Augustyn na przykład nie może się pozbyc zmysłowego obrazu piekła, gdyż jego zmysłowa natura i zmysłowe grzechy są zbyt elementarne, aby pierzchnąć przed błyskiem sylogizmów i pięciu dowodów istnienia Boga.

To właśnie pozwoliło jednemu z nas nazwać Augustyna filozofem w stanie dzikości.

I oto sposobne miejsce, oto chwila aby rozpisac się o systemie Augustyna. Ale nie zrobię tego, gdyż moim zdaniem człowiek, który tak ciężko walczy, ma tylko taktkę, a to co wypowiada, jest raczej ujawnianiem pokus niż formułowaniem prawdy o świecie. A żeby skończyć ten krótki wstęp do Augustyna, trzeba go zamknąć jednym słowem. Powiem to słowo: żarliwość.

PATRYK.
PANU ZYGMUNTOWI
JAKIMIAKOWI.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Ks. EUGENIUSZ DĄBROWSKI

PROLEGOMENA

do

NOWEGO TESTAMENTU

O P O L E 1 9 4 9.

Dzieło to w syntetycznym ujęciu omawia kwestie wchodzące w zakres tzw. introdukcji biblijnej. Dalekie jest wszakże od suchej ekspozycji podręcznikowej, operowania schematami lub nagromadzenia szczegółów wyłącznie erudycyjnych. Przeciwnie, o każdej księdze Nowego Testamentu zawiera dane oparte na ostatnich wynikach nauk biblijnych, z pominięciem kwestii akademickich, nie mających większego znaczenia.

Autor w książce tej zamierza pomóc czytelnikowi Nowego Testamentu w rozwikłaniu trudności związanych z interpretacją tekstu biblijnego. Nie pomija też niczego, co by mu to zadanie ułatwiło. Ale czyni to w sposób osobliwy. Ewangeliści, św. Paweł, Apostołowie przesuwają się kolejno przed naszymi oczyma, każdy z napisanymi przez siebie księgami. Jest ich wiele (27), a przecież wszystkie one do jednego zmierzają celu... Autor usiłuje odnaleźć tę bogatą różnorodność jednej myśli, zogniskowanej w postaci Chrystusa i Jego dzieła Odkupienia. Całość poprzedzona jest rozprawą pt.: „Co to jest Nowy Testament?“, w której jasno wyodrębniono samą tematykę i zajmująco opisano krótkie jej dzieje.

Wśród wydawnictw:

Sztuka religijna w dawnych wiekach

W dniu wigilijnym ukazał się pierwszy egzemplarz pracy ks. prałata K. Korsaka pod tytułem „Sztuka religijna w dawnych wiekach”. Książka starannie bardzo wydana przez Albertinum, mieści w sobie oprócz tekstu 16 tablic reprodukcji szeregu najwybitniejszych arcydzieł sztuki kościelnej na świecie.

Autor z dużą znajomością tematu dał krótki, zwięzły zarys historii sztuki religijnej w Europie począwszy od katakumb aż do końca XVII wieku. W barwnym, bardzo jasnym i treściwym wykładzie, przesuwa się przed czytelnikiem kolejne charakterystyki epok i ludzi. Logika rozwoju następujących po sobie okresów i stylów, została bardzo przekonująco wyjaśniona oraz związana z ewolucją myśli religij-

nej, co wskazuje na długie studi autora i głębokie zżycie się z tematem.

W książce znajdujemy cały szereg wymienionych największych mistrzów plastyki na świecie, malarzy, rzeźbiarzy, architektów, a obok powszechnie znanych genialnych artystów, wplecione zostały i mniej znane nazwiska, ściśle jednak związane z powstawaniem, lub wykańczaniem epokowych dzieł sztuki. W tym właśnie przejawia się duża erudycja autora, a co jeszcze ważniejsze, głębokie umiłowanie sztuki, które go pchało do bezpośredniego zapoznania się z jej arcydziełami.

Poznanie środowiska i psychicznego nastroju w jakim pracował artysta, wycucie klimatu w jakim się obracał, zrozumienie związku utworu z krajem i narodem, w którym powstał, pozwala niezawodnie odnajdywać odpowiednie, a możliwie wszechstronne kryteria.

Tekst książki udokumentowany dobrze dobranymi ilustracjami, czyta się jednym tchem, jak opis, w którym podobnie do czarodziejskiego filmu, rozwija się owoc ludzkiego geniuszu szukającego w Bogu natchnienia. Brakowało właśnie takiej pracy, która by treściwie przypominała wiele szczegółów tym, którzy je znali, a uczyła przystępnie tych, co się z tak szerokim tematem pierwszy raz spotykają.

Należy może tylko żałować, że autor zamknął swą pracę na Murillu, bo ciekawymi byłyby poglądy jego na dalszą ewolucję sztuki kościelnej, która jednak coś niecoś jeszcze stworzyła do naszych czasów.

Dr J. T.

Czytając

„Słowo Powszechne”

Literatura polska po słowacku

Ruchliwe wydawnictwo słowackie Spotok Sv. Vojtecha w Tarnawie interesuje się od dawna literaturą polską. Przekłady z literatury polskiej stanowią poważną pozycję wydawniczą. Ukazały się już dwa po wojnie wydania „Quo vadis” w starannym przekładzie Mikulasa Stano, wydanie „Krzyżaków” i „Za chlebem”, dwa wydania „Dewajtisa” Rodziewiczówny i drobne pozycje Mickiewicza. Z literatury współczesnej tłumaczeni byli: Szalburg Zaremblina, Jeleński i Dobraczyński. Na rok 1950 przewiduje się m. in. przekład „Pawła z Tarsu” ks. prof. E. Dąbrowskiego.

Pomimo, że Słowaków jest zaledwie około 2 milionów, czytelnictwo wśród ludności słowackiej jest o wiele, procentowo biorąc, większe niż wśród ludności polskiej. Nakłady książek słowackich są prawie tak samo duże jak nakłady u nas.

Było by rzeczą dobrą, aby któreś z naszych wydawnictw katolickich zainteresowało się sprawą przyswojenia nam bodaj jednego z nielicznych, lecz ciekawych, zwłaszcza jeżeli chodzi o twórczość popularną, utworów literatury słowackiej.

KULTURALNY

bibliografii, opracowana przez Ludwikę Brozka, kustosa muzeum cieszyńskiego, zawierająca 300 pozycji.

POLACY W CZECHOSŁOWACJI

Znany polonista czeski prof. Krejczy wydał w Pradze monografię o Juliuszu Słowackim.

„Za pokój świata” — taki tytuł nosi wydana w Pradze antologia polskiej noweli współczesnej. Zawiera ona 21 pozycji polskich pisarzy, przełożonych przez zasłużoną tłumaczkę Helenę Tajgova. W skład antologii wchodzi opowiadania: Iwaszkiewicza, Dąbrowskiej, Nałkowskiej, Parandowskiego, Andrzejewskiego, Rudnickiego, Gojańczyńskiej, Kowalskiej, Putramenta, Pruszyńskiego, Żukrowskiego, Hertza, Szeburg-Zarebiny, Borowskiego, Sandauera, Filipowicza, Zutańskiego, Papugi, Pięta, Kowalskiego, Piór-

kowskiego. Przy tak szerokim wachlarzu uwzględniającym zarówno po zycie pierwszorzędne jak dosyć słabe.

Film

Uwagi o dialogu filmowym

Zagadnienie wykorzystania utworów literackich w twórczości filmowej jest dla filmu problemem niemal podstawowym. Ograniczenia czasowe to znaczy problem skonstruowania akcji w ten sposób, aby zmieściła się w dwugodzinnym seansie, rozplanowanie jej tak, aby w ciągu tych dwu godzin zawrzeć pewną zamkniętą samodzielną całość kierowały wysiłki wielu realizatorów filmowych ku wykorzystaniu dla filmu

W Bratysławie ukazał się zbiór przekładów z poezji polskiej póra Pawła Bunczaka, słowackiego poety. Zbiór zawiera wiersze: Słonimskiego,

Iwaszkiewicza, Tuwima, Broniewskiego, Przybosa, Ważyka, Czechowicza, Jastruna, Gałczyńskiego, Miłosza, Zagórskiego, Bienkowskiego.

„Maszeńka”

Za dużo się w tej komedii mówi o Dickensie, by nazwisko tego pisarza nie trafiło do recenzji. Podobieństwa same rzucają się w oczy. Sytuacje dickensowskie, typy dickensowskie, identyczna chwilami reakcja żeńskiej części publiczności (chusteczki przy ufarbowanych rzesach). Trzeba jednak dostrzec drobna pozornie a zasadniczą w istocie różnicę, która wbrew pozorom, na różnych biegunach stawia obu pisarzy. Jednaka jest skala uczuć, jaką darzy człowieka Dickens i Afinogenow (różny pod względem artystycznej wartości, dając tym uczuciom wyraz — każdy według swoich możliwości, według swego talentu) — w obu wypadkach rejestrujemy wielkie ciepło, miłość i szacunek dla istoty, któremu nauka miano homo sapiens nadała.

I Dickens i Afinogenow starają się usunąć człowiekowi sprzed nóg przeszkody. I jeden i drugi pragnęliby najkrótszą drogą poprowadzić swoich bohaterów w objęcia szczęścia. Różnica tkwi w wyborze odmiennych dróg: Dickens wycyca ją drogowskazami spirytualistycznymi — Afinogenow kieruje człowieka na ścieżki realistycznego pojmowania świata. Rolę świerszcza ćwierkającego za kominem spełnia u Afinogenowa zespół uczniowski, śpiewający współczesną pieśń młodzieżową. U Dickensa człowiek człowiekowi bratem, bo takie jest prawo boże, u Afinogenowa hasło wzajemnej miłości podyktowane jest obowiązkiem wspólnej pracy dla dobra własnego i dla dobra ogółu.

Dyskusja nad zagadnieniem, który z tych dwu pisarzy ma rację zabrzmiaby dogmatyczną publicystyką. Uda się może jakoś jednak uniknąć długich debat. Wydaje mi się, iż sposób na to jest prosty: należy obu pisarzom przyznać rację. Czy to jest wykręcanie się sianiem? Chyba nie. Taka jest prawda. I Dickens i Afinogenow mają rację... każdy częściowo. Poglądy ich uzupełniają się wzajemnie dając pełnię wskazań, zapewniając pełnię życia, które nie może wisieć w powietrzu, ale zakorzeniwszy się na ziemi nie powinno zapominać również o tym, że istnieje coś więcej niż ziemia.

Decyzja nasza przychodzi tym łatwiej, że Teatr „Nowy” pod względem wykonania dał spektakl dobry, zasługujący na uwagę.

Z zespołu aktorskiego na pierwszym miejscu wymienić należy laureatkę Festiwalu, Benignę Sojecką (Maszeńka), która, mimo pewnych skłonności do przesłodzenia roli, wcieliła się w postać młodej dziewczyny i przez czas spektaklu absolutnie żyje jej życiem. Dobrym (w pierwszej części może zbyt pomalowanym na jakiś „szwarz charakter” dziaduniem) był Aleksander Michałowski. Zawsze pełen temperamentu, werwy i humoru Andrzej Bogucki zbierał zastróżone brawa za postać Borysowicza. Kapitałnym Wiktorem był Klemens Mielczarek. Kolekty szkolni Maszeńki i Wiktora znacznie mniej udani — zbyt dawno — widać to wyraźnie, z lat szkolnych wyrosli. Adolf Nowotworski (Tumański) przesadny w erotycznych zapędach.

Jerzy Artemski

„W pogoni za mężem” powieść przerobiono w ten sposób, że przy pietyzmie dla tekstu, ujęcia całej fabuły część partii opisowych ujęto w dialogach i te fragmenty filmu wydawały się sztuczne i niezdane. Realizatorzy „Wielkich nadziei” partię opisową dokończając celowego wyboru ujęli fabułę nie zostawiając w wybranych fragmentach dialog Dickensowski.

Przykład „Wielkich nadziei” wydaje się potwierdzać tezę, że realistyczny dialog powieści epickiej bywa zawsze dobrym dialogiem filmowym i że cały problem transpozycji z punktu widzenia formalnego będzie sprowadzał się do wyrażenia plastycznego warstwy epickiej.

LESZCZ.

Rozważania nad eposem

Tutaj zatem znachodzi się czy czynnik rozstrzygający dla różnicy kompozycji obydwu gatunków. Epik, mając przedstawić to, co jest, postępuje jak historyk i właściwie jest historykiem, opisującym życie bohatera w pewnej kolejności chronologicznej, która dyktuje kompozycję utworu; z tego powodu przedstawiając wydarzenia minione i skończone, akcentuje to jeszcze przez użycie formy gramatycznej czasu przeszłego, w przedstawianiu zaś psychologii bohatera, przeżycia jego układa w łańcuch, pokazuje je jedno po drugim. Dlatego może on dać wszędy stronny obraz duszy ludzkiej, może pokazać jej rozwój w sposób bardzo dokładny, może wydobyć jej rozmaite właściwości i każdą z nich odpowiednio naświetlić, oraz przedstawić rozmaite objawy zewnętrzne tych właściwości. Epik bowiem odtwarza życie bohatera z tym, co było w nim wielkie i małe, wzniosłe i codzienne, tragiczne i śmieszne; przeprowadza go przez najrozmaitsze sytuacje i pokazuje jak w każdej z nich on się zachowuje, jak psychika jego reaguje na rozmaite pobudki. Z tych to wszystkich powodów epos w sposób wierniejszy i pełniejszy a także bardziej obiektywny odtwarza życie z wszystkimi jego „przypadłościami” (jakby to Rej z Nagłowic powiedział). Epos pod tym względem pokazuje życie w całej pełni, pokazuje je nie jako zjawisko statyczne, ale rozwijające się, pokazuje je w procesie dynamicznego starcia się rozmaitych jego form, form zużytych i starych, zamierających a gloryfikujących tradycyjnę nawyki życiowe, form brojących się jeszcze na kruszących się w proch okopach i form nowych nabrzmiałych siłą młodości i siłą rewolucyjną.

Dramaturg w tym wypadku musi się bardziej ograniczać, przedstawia tylko jedną właściwość psychiczną człowieka, która przetrwała inne, lub na niej skupia najsilniejsze światło; całą zaś treść życia swojego bohatera sprowadza do jednego wydarzenia, które nabiera rysów wydarzenia stałego, wiecznie aktualnego przez to, że zawsze w teraźniejszości przed naszymi rozgrywa się oczyma.

Bohater dramatu jest stale w działaniu, jest stale czynny, sam swoim postępowaniem stwarza sytuacje tragiczne, ponieważ podejmuje walkę ze światem, ażeby podporządkować go swojej woli. Bohater dramatu jest zawsze człowiekiem czynu. Natomiast bohater eposu jest raczej świadkiem wydarzeń, w których uczestniczy, ale których stwarzać nie musi, ani nie musi na nie wpływać. Naj-

(Dokończenie ze str. 3-ej)

częściej te wydarzenia istnieją niezależne od jego woli i akcji, a on albo im się poddaje, albo w nich uczestniczy, albo też na ich tle swoje życie osnuwa. Wskutek zaś takiego stosunku do człowieka i do świata może epik pokazać szerszej życia wewnętrzne i życie zewnętrzne człowieka, ale pokazuje je przeważnie w ten sposób jak gdyby mu się sam przyglądał, pokazuje je głównie od strony zewnętrznej i to w sposób panoramiczny, wszechstronny, dokładnie oświetlone.

Czy jednak pokazanie życia jednego człowieka jest wyłącznym celem eposu? Pozornie tak. Przecie każdy z epików dawnych zapowiadał na początku poematu, że przedmiotem tego poematu będzie fragment dziejów bohatera. „Iliada” zaczyna się od słów: „Gniew opiewaj bogini Achillesa Peliidy...”; „Odysseja” wprowadza od razu Odysseusza jako bohatera głównego: „Ty Muzo, daj pieśń o mężu bywałym, co srogie udręki cierpiał...” (tłum. Wittlina); Wergilii zaczyna „Eneidę” zapowiedzią wojny i męża — „arma virumque cano...”, a śladem starożytnych poetów poszedł Tasso: „Wojnę po bożną śpiewam i Hetmana, który święty grób Państki oswobodził (tłum. P. Kochanowskiego).

Odmiennie natomiast postąpił Dante. Pozornie on sam i jego przygody są główną treścią „Boskiej Komedii”, ale tylko pozornie. Jego wędrówka po piekle, czyściecu i raju nie da się porównać z przygodami Odyssea lub Eneasa; Dante jest tu tylko widz, przed którego oczyma rozgrywają się najróżniejsze sceny zaświata i chociaż w nim samym dokonała się pewna ewolucja psychologiczna, oczyszczenie duszy, katharis, jednak jest to tylko konsekwencją treści nadrzędnej, głównej, zasadniczej, a tą treścią jest pokazanie życia społeczeństwa średniowiecznego i to właśnie społeczeństwo stało się bohaterem poematu. Czy w tamtych zaś czterech utworach rzecz nie wygląda tak samo? Otóż okazuje się, że bohater główny, na czoło wysunięty, stanowi tylko pretekst do pokazania rzeczy ważniejszej aniżeli jego psychika i jego dzieje, że te dzieje stanowią tylko schemat kompozycyjny poematu dla pokazania życia społeczeństwa całego w pewnej epoce. Homer w „Iliadzie” wprowadził ludzi najrozmaitszych tylko po to, ażeby za ich sprawą przedstawić obraz dwóch społeczeństw — Achajów i Trojan, chciał namalować rozmaite strony życia społecznego i materialnego tych społeczeństw, a ponieważ na tle wojny nie było możliwe zrealizowania tego zadania w pełni, więc zjawiska niedające się wpleść w wir wojennych wydarzeń, pokazał osobno na tarczy Achillesa. Tak samo w „Odyssei” element baśniowy wysunięty jest, co prawda, na plan pierwszy, ale pozwala on poznać nieco jakby wyidealizowany w tym przyzmacie obraz życia ówczesnego, którego pewne elementy pokazał poeta wprost w obrazach środowisk greckich, a także przedstawił tak ważne dla ówczesnego życia wędrówki morskie. Tak samo celem Wergiliego było namalowanie obrazu życia społeczeństwa rzymskiego z wszystkimi jego zwyczajami i wierzeniami, a celem Tassa obrazu życia wieków średnich, konfliktu między Zachodem a Wschodem, konfliktu, który wybuchł na podłożu różnic dwu kultur i dwu religii.

Zatem zagadnienie psychologii jednostki nie jest najważniejszym zagadnieniem eposu. Człowiek bowiem jest tu pojęty jako jednostka reprezentatywna, nie jako zjawisko indywidualne a przez to wyjątkowe, ale jako jeden z wielu w danym środowisku narodowym i społecznym. Bo epos jest obrazem społeczeństwa i narodu namalowanym za pomocą obrazu jednostek najbardziej znamiennych dla narodowego życia, najbardziej charakterystycznych dla fizjognomii narodu i dla jego życia materialnego. Twórca eposu chce pokazać nie jakieś jednostki niezwykle, wyjątkowe, jednorazowe i inne jakiegoś wyjątkowe niezwykłe sytuacje i wydarzenia w życiu narodu, ale takie, które się składają na pełny, syntetyczny jego obraz. Spełnienie tego zadania jest celem i obowiązkiem epepe, a takiego celu i obowiązku nie ma żaden inny gatunek literacki. Epos bowiem jest poematem o narodzie. To różni je od wszystkich innych dzieł literackiej sztuki i to jest przyczyną, że stawia się je w literaturach narodowych na miejscu naczelnym. Daje ono artystyczną wiedzę o świecie ludzi i o świecie przyrody, o dziejach pewnego narodu w pewnym momencie. Każda epoka odkrywa w nim nowe zjawiska i cechy, niedostrzegalne przez inne epoki i przez inne środowiska. Stosując zaś własne kryteria socjalne i własne kryteria etyczne każda epoka swój sąd o dziele i o czasach przez nie pokazanych feruje, każda swoją wizję artystyczną posiada dzieła kontemplowanego i przeżywanego. Sposób przeżycia eposu i sąd o nim objawia najdokładniej fizjognomię moralną i kulturę — epoki.

Stanisław Kolbuszewski

WOKÓŁ ARTYKUŁU LICHNIAKA

„PROSZE NAS NIE ZALICZAC”

Do redaktora tygodnika „Kuznica”
Zechce Pan na łamach swego pisma zamieścić kilka słów wyjaśnienia, za co z góry dziękuję.

W numerze 51-52 tygodnika „Dziś i Jutro” drukowany był artykuł Zygmunta Lichniaka p. t. „Powojeenna literatura katolicka”. W artykule tym autor zajął się między innymi i moją skromną osobą.

„Najzdolniejszy z grupy „Progu” chociaż — zdaje się coraz bardziej obojętniejszy wobec katolicyzmu Roman Sadowski, potrafił (zwłaszcza w ostatnim swoim poemacie „Rzut oszczepem”) wykazać skłaniającą do szacunku i uznania troskę o jak najdoskonalszy kształt artystyczny, ale jednocześnie skłania się ku tej postawie twórczej, z zasady obcej katolicyzmowi, która polega na autonomizowaniu przeżyć estetycznych.

Od zarzutu pięknołuchostwa bronią go jeszcze głębokie akcenty humanistyczne...”

Nie mam zwyczaju prowadzenia publicznej dyskusji z krytykami na temat własnej twórczości. Dlatego i tym razem pragnę jedynie wyjaśnić pewne niedomówienia w sformułowaniach autora artykułu.

Przede wszystkim zdanie: „zdaje się coraz bardziej obojętniejszy wobec katolicyzmu...” Sformułowanie co najmniej dziwne. Blisko tysiąc audycji radiowych, których jestem autorem, wiersze drukowane po czasopiśmie, nagroda Ministerstwa Kultury i Sztuki za utwór 1-majowy, wszystko to powinno być dostatecznym dowodem, wykluczającym wątpliwości i wszelkie „zdaje się”.

Dalej: „Od zarzutu pięknołuchostwa bronią go jeszcze głębokie akcenty humanistyczne...”

Tak. Tylko że te akcenty humanistyczne nie tylko bronią mnie od zarzutu pięknołuchostwa. W momencie, kiedy w praktyce politycznej skutkiem stanowiska najwyższych dostojników hierarchii kościelnej katolicyzm przestaje być wewnętrzną sprawą człowieka a staje się polityczną ekspozyturą imperializmu, kiedy trzeba wybrać między

ucieskiem i wolnością, między wstecznictwem i postępem, między wojną i pokojem — te „głębokie akcenty humanistyczne” kazają mi wybrać wolność, postęp i pokój.

Sądzę, że tych kilka słów wyjaśnienia wykluczy dalsze łączenie mej osoby i twórczości z obozem, który moim obozem nie jest.

Łączę wyrazy szacunku

Roman Sadowski

Do redaktora „Kuznicy”.

W numerze 51-52 tygodnika „Dziś i Jutro” Zygmunta Lichniaka ogłosił artykuł p. t. „Powojeenna literatura katolicka”. W artykule tym czytamy między innymi:

„Najwięcej wydał i najwięcej zawazył w powojennej poezji katolickiej przedstawiciel starszego pokolenia — Wojciech Bąk. Dalej współczesniczy w trudzie reprezentowania naszej poezji dawna grupa „Progu” będąca dziś już w rozsypanie: Jerzy Kierst, Bohdan Ostromecki, Roman Sadowski i ongiś Stanisław Ziembicki”.

Ponieważ autor artykułu nie wyjaśnia dlaczego dawna grupa „Progu” znajduje się w rozsypanie i na jakie strony świata rozsypana się, oraz ponieważ przytoczone sformułowanie mogłoby budzić wrażenie, że „dalej współczesniczy w trudzie reprezentowania katolickiej poezji” — proszę o umieszczenie na łamach „Kuznicy” następującego wyjaśnienia:

Grupa „Próg”, która skupiała kilku poetów warszawskich, publikujących swe prace literackie w prasie katolickiej, rozpadła się z końcem 1946 roku. Stało się to wówczas, gdy niektórzy jej członkowie zrozumieli i przekonali się, że ich twórczość związana z idealistycznym poglądem na świat nie służy społeczeństwu, zawisa w próżni, nie potrafi i nie może wyrazić tych przemian, jakie się w kraju dokonały, że te przemiany są słuszne, potrzebne i piękne. Jeśli chodzi o moją osobę, to w owym „ongis” przekonałem się również, że dostojnicy i politycy Kościoła zebraли wokół siebie wszystkie wsteczne siły narodu, oddali je na usługi międzynarodowemu imperializmowi, skierowali „katolicyzm” nie ku społeczne-

mu i kulturalnemu ocaleniu i odrodzeniu człowieka (jak głosili), ale ku czującej z zachodu niewoli społecznej, nowej zagładzie wojennej. Zrozumiałem też, że droga, którą szedłem pierwotnie, jako tak zwany pisarz katolicki, prowadzi sztukę i kulturę polską na manowce, w gąszcz ciemnoty i w szkodliwą bierność społeczną.

Wystąpiłem z grupy „Próg”, przestałem publikować swoje prace w prasie katolickiej. Podobnie jak inni młodzi i niemłodzi pisarze przestałem myśleć i pisać idealistycznie, dostrzegłem prawdę w materializmie dziejowym, w rewolucyjnym poglądzie na świat. Od roku 1946 ogłosiłem w prasie i w Polskim Radio wiele utworów, których Zygmunta Lichniaka widać nie czytał i nie słyszał, albo o których nie chciał czytelnikom powiedzieć. Staralem się mówić w nich o tym, że ustrój ludowy, w którym żyję i w którego umacnianiu staram się uczestniczyć, jest również moim ustrojem, a myśl która go rozwija, marksistowsko-leninowska, jest również moją myślą.

Stanisław Ziembicki

Warszawa, 2.I.1950.

NIE ZALICZAMY

Jesteśmy przeciwni pochopnemu potępianiu ludzi, zmieniających poglądy filozoficzne czy ideowo-polityczne.

Gdy zmiana poglądów następuje przy różnych okazjach i łatwo jak zmiana kapelusza wtedy nie budzi sza-

cunku. Musi budzić szacunek gdy jest wyrazem głębokich i szczerych przeżyć.

Wydaje nam się, że współcześnie dokonującą się socjalistyczna rewolucja społeczna, jej osiągnięcia i perspektywy, stwarzają specjalnie zrozumiały klimat do rewidowania zapatrywań ideowych. Sami zadeklarowaliśmy przeszło rok temu zmianę naszych poglądów społecznych przyjmując założenia socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego.

Toteż jeśli odpowiadamy na przedrukowane wyżej z tyg. „Kuznica” listy otwarte dwóch młodych poetów: Romana Sadowskiego i Stanisława Ziembickiego, którzy pod niedwuznacznym tytułem — „Proszę nas nie zaliczać” — oświadczają swoje zerwanie z obozem katolickim intencją naszą jest jedynie prostować pomyłki i zbić nieszczęśliwą, naszym zdaniem, argumentację tych listów, bez jakiegokolwiek sugestii — ad personam — wobec autorów.

1) Przede wszystkim wyjaśniamy, że nikt wspomnianych poetów do obozu katolickiego nie zalicza, czemu już dał wyraz Zygmunta Lichniak w swym artykule w nr 51/52 tyg. „Dziś i Jutro”, pisząc przy nazwisku Romana Sadowskiego — „...zdaje się coraz bardziej obojętniejszy wobec katolicyzmu...” zaś przy nazwisku drugiego poety pisząc: „...współczesniczy w trudzie reprezentowania naszej poezji... i ongiś Stanisław Ziembicki.

W tym oświetleniu listy obu poetów stają się bezprzedmiotowe.

2) Roman Sadowski dowodzi w następujący sposób swego odejścia od katolicyzmu:

„Blisko tysiąc audycji radiowych, których jestem autorem, wiersze drukowane po czasopiśmie, nagroda Ministerstwa Kultury i Sztuki za utwór 1-majowy, wszystko to powinno być dostatecznym dowodem wykluczającym wątpliwości i wszelkie „zdaje się”.

Taka argumentacja budzi zasadnicze sprzeciw, bo pisanie audycji radiowych, drukowanie wierszy po czasopiśmie, otrzymanie nagrody za utwór 1-majowy — nie może jeszcze samo w sobie świadczyć o porzuceniu światopoglądu katolickiego.

Ten fragment listu świadczy, że p. Sadowski niestety zupełnie nie rozumie istoty katolicyzmu. Nie rozumie on, że służba ideałom wolności i postępu, polegającego na realizowaniu sprawiedliwości społecznej jest właśnie koniecznym warunkiem autentycznej postawy katolickiej.

Powodem odrzucenia katolicyzmu może być utrata wiary lub zmiana poglądów religijnych czy filozoficznych, a nie postępowość społeczna, do której przecież zobowiązuje katolika nakaz czynnej miłości bliźniego.

3) Drugi poeta Stanisław Ziembicki postawił już sprawę jaśniej, opowiadając się w swym liście za materializmem filozoficznym, który jest dla katolika nie do przyjęcia. **Red.**

Literatura wiecznie młoda

(Dokończenie ze str. 7-ej)

W Indiach, gdzie bajka stanowi zasadniczo literaturę dorosłych, kategoria ta reprezentowana jest obficie i w różnych odcieniach, aż do pornografii włącznie. Ten rodzaj humoru zyskał sobie na całym świecie prawo obywatelstwa, ale na ogół uważany jest za gatunek pośledni.

W Indiach nie tylko korzysta on z zupełnego równouprawnienia, ale bajki tego rodzaju wraz z innymi wchodziły nawet w skład tak poważnych cyklów jak kanon buddyjski. Wiele odwiecznych motywów z tego zakresu tuła się u nas w ludowej, ustnej tradycji. Cytowano mi kiedyś wiejską gadkę uderzającą podobną do pewnej bajki buddyjskiej, której pointę pozwolę sobie jeszcze przytoczyć. Oto matka pewnej kurtyzany postanowiła otruć kochanka córki, który będąc ubogim, nie tylko nie przynosił zysków, ale odstraszał jeszcze innych klientów. Aby tego dokonać wypełniła pret bambusowy sproszkowaną trucizną i czekała na odpowiedni moment by wdychnąć ją młodemu człowiekowi w usta. Ten jednak miał zwyczaj sypiania na brzuchu, to też stara musiała zdecydować się wreszcie na jedyny, dostępny jej w takiej pozycji otwór. Niestety w chwili zamachu ofiara cierpiała na wiatry i w rezultacie sama trucicielka została otruta.

Zresztą w tym wypadku Hindusowi rzeczka zabawniejszą wydawać się może fakt, że chytra kobieta wpadła we własne sidła niż sposób w jaki się to stało. W literaturze indyjskiej sprawy fizjologii nie są takim tabu jak u nas, to też moment zgorznięcia, odgrywający niewątpliwie swą rolę w powstawaniu reakcji, przez pryzmat której dane zjawisko wydaje się nam śmieszne, nie jest mo-

że tak godny podkreślenia jakby się na pozór wydawał.

FORMA.

Należy pamiętać, że naturalnym sposobem komunikowania sobie treści bajek jest opowiadanie, a nie odczytywanie tekstów. Stąd też pewna mnemotechniczność formy, częste powtórzenia i najdalej idące uproszczenia opisu i psychiki bohaterów. To ostatnie ma zresztą nie mniej ważną przyczynę w fakcie, że bajka nie pretenduje do szczegółowej wiarygodności, mając na oku jedynie prawdy ogólne. Nie ma w niej ani indywidualności, ani charakterystyki otoczenia. Jest tylko to, co bezpośrednio służy anegdocie: typy i sytuacje typowe. Również i specyfikacja czasu nie wchodzi wobec tego w rachubę. Zamiast tego mamy tak zwany „czas bajkowy”, czas poza wszelką realistyczną chronologią. Najbliższym odpowiednikiem naszych zwrotów „był sobie raz...” albo „za króla Cwiczka” jest spotykana w buddyjskich zbiorach formuła: „kiedy w Benares królem był Brahmadata...” Nawet dla Hindusów, nie przywiązujących najmniejszej wagi do historycznych i topograficznych realiów, początek taki oznacza przeniesienie się w bajkową abstrakcję.

Osobliwie indyjską cechą nie tyle poszczególnych bajek, co ich cykli, jest „szufladkowanie” wątków. Cała *Pancatantra* zbudowana jest w ten sposób. Szakale, zastanawiające się jak zgubić byka, ich rywała na dworze królewskim, czy kruki, przygotowujące się do wojny z sowami, opowiadają sobie wpływające jedne z drugich przykłady analogicznych sytuacji i skutecznych w danym mo-

mencie podstępów. Powstaje łańcuch, który mógłby się pleść w nieskończoność i dopiero konkluzja wiąże go z powrotem z pierwszym ogniwem.

Wreszcie najcharakterystyczniejszą może cechą formalną jest łączenie wiersza z prozą. Przeplatające teksty maksymy, owe śluki o których mówiłem już poprzednio, mają z reguły postać metryczną. Jest to sprawa o tyle godna uwagi, że bardzo często prozaiczne i wierszowane elementy opowiadania nie stanowią bynajmniej jednolitej całości. Na ogół różnią się one między sobą wiekiem, a czasami nawet językiem. Ten ostatni wypadek zachodzi szczególnie w jatakach wchodzących w skład buddyjskiego kanonu. Odpowiednikami śluk są tu tak zwane *ghata*, pozostałość dawniejszych wersji, które zapewne były w całości metryczne. *Ghata* najczęściej zawiera moral opowiadania, czasem uzupełnienie ekspozycji. Nie trudno spostrzec, że nie raz tkwi ona w tekście bardzo niepewnie. Zdarza się up. że cała bajka odnosi się do osła, a *ghata* mówi o koniu.

Są to już jednak sprawy stojące poza nawiąsem uniwersalistycznej, bajkowej tradycji. Ta zaś na kwestię formy rzuca zupełnie jednoznaczne światło: prosty, hieratyczny kształt najlepiej przechowuje bajczoną anegdotę i jej moral. Wrażliwość człowieka, krąg jego wiedzy, subtelność jego reakcji i rozumowania komplikuje się i zmienia, zrezy jednak jego psychiki pozostają zdumiewająco niezmiennie. Na nich opiera się bajka — najstarsza zapewne literatura — i ich stałości zawdzięcza swą nieprzemijającą aktualność.

J. J. Szczepański

